NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb 80 kop z przesyłką pocztową 2 Rsb 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7 Nr TEL 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 3 kwietnia 1909. Nr. 14.

W obronie granic.

(Treść na str 2)



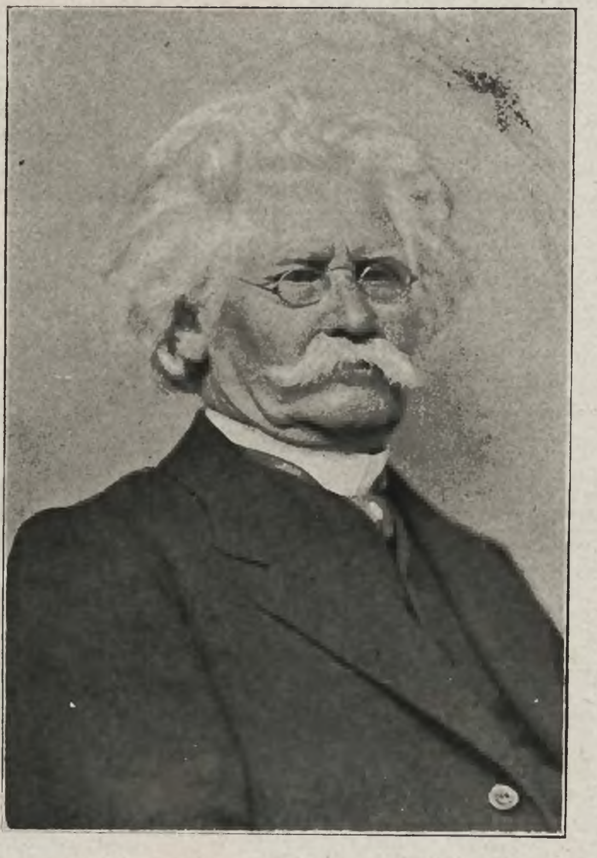
Od Administracyi.

Przypominamy naszym P. T. Prenumeratorom, że

czas odnowić przedpłatę

na kwartał następny.

Kto nie odnowi prenumeraty do 7-go kwietnia, następnego numeru już nie otrzyma.



Fot. E. Trzemeski Lwów.
Związek dziennikarzy polskich: Franciszek Rawita Gawroński, prezes Związku.



Zmiana w prezydyum Koła Polskiego: Dr. Władysław Czaykowski.



Fot. M. Münz Lwów.
Związek dziennikarzy polskich: Dr. Tadeusz Jaworski z Poznania, wiceprezes Związku.

W obronie granic.

(Do illustracyi tytułowej).

Groźne widmo wojny zwolna się usuwa na plac dalszy, opinia publiczna się uspokaja, giełdy, ten czuły barometr aury politycznej, pozbywają się nerwowości, która niejednego spekulanta naraziła w ostatnich dniach na olbrzymie straty, ludzie oddychają swobodniej, bo pokój zdaje się być zapewniony.

Dla naszych żołnierzy jednak, pełniących ciężką służbę na pograniczu Serbii i Czarnogóry, jeszcze nie nadeszła chwila spoczynku. Wprawdzie jest już niemal pewnem, że obydwa te państewka zrezygnowały z chęci prowadzenia otwartej wojny z Austro-Węgrami, ale kwestyi nie ulega, iż nie omieszkają czynić wszystkiego, co będzie w ich mocy, aby wywołać i popierać ruchawkę w Bośni i Hercogowinie z chwilą nastąpienia ciepłej pory roku w tamtych stronach.

Z tego względu woiska austryacko-węgierskie, rozłożone na pograniczu serbskiem, i czarnogórskiem, mają obecnie więcej do czynienia, niż podczas miesięcy zimowych. Ich zadaniem jest przez granicę nie przepuścić nikogo, ktoby ją chciał przejść potajemnie, a następnie czuwać nad tem, aby wewnątrz kraju nie mogły się ewentualnie tworzyć oddziały powstańcze. To zadanie da się tylko w ten sposób spełnić, gdy wojsko zostaje w ciągłym ruchu, patrolując pilnie nad granicą i przebiegając cały kraj w rozmaitych kierunkach.

Wypróbowana dyscyplina naszego wojska, oraz gorliwe i sumienne spełnianie obowiązków przez wszystkich żołnierzy od szeregowców począwszy, a skończywszy na generałach, dają rękojmię, że spokój wewnętrzny w prowincyach anektowanych zostanie utrzymany, a temsamem, że nadzieje tych, co pragnęliby łowić ryby w mętnej wodzie, doznają zawodu. W każdym razie jednak nie możemy, jak tylko życzyć sobie, aby tyle oderwanych od kraju, rodzin i zawodowej pracy młodych ludzi najprędzej znalazło się między nami z powrotem.

Rycina nasza, sporządzona wedle nadesłanego nam szkicu, przedstawia w malowniczy sposób chwilę postoju większego oddziału, patrolującego tuż nad granicą czarnogórską.



Fot. M. Münz Lwów.
Związek dziennikarzy polskich: Grono uczestników Zjazdu przed kurtyną Siemiradzkiego w Muzeum przemysłowem we Lwowie. 1. M. Konopiński (Kraków). 2. Ksawery Chamiec (Warszawa). 3. dr. T. Rutowski (Lwów). 4. Leszczowski (Warszawa). 5. dr. Doboszyński (Kraków). 6. dr. Seyda (Poznań).

Zmiana w prezydyum Koła Polskiego.

Przez nagłą śmierć ś. p. Wojciecha Dzieduszyckiego, o którego zgonie donieśliśmy w poprzednim numerze, poniosło społeczeństwo polskie dotkliwą stratę. S. p. zmarły należał do najwybitniejszych naszych polityków i najtęższych sił w Kole Polskiem, w którem nie tak łatwo będzie zastąpić ową lukę, jaka powstała przez jego zgon przedwczesny. Ostatnimi czasy piastował ś. p. Dzieduszycki godność wiceprezydenta Koła a działalnością swą potrafił sobie zjednać uznanie wszystkich stronnictw zgrupowanych w naszej wiedeńskiej reprezentacyi.

To też wybór następcy przedstawiał pewną trudność, gdyż chodziło o wynalezienie osobistości, któraby godnie wstąpiła w ślady poprzednika na krześle wiceprezydenta. Wybór padł szczęśliwie na Dra Władysława Czaykowskiego, marszałka Rady powiatowej przemyskiej i posła do parlamentu z 61 okręgu wyborczego w Galicyi.

Dr. Czaykowski, urodzony w r. 1846 w Samborze w Galicyi, po ukończeniu studyów gimnazyalnych i prawniczych na uniwersytecie lwowskim, poświęcił się adwokaturze. W życiu politycznem dał się nowowybrany wiceprezydent poznać jako mąż stałych zasad i niestrudzony pracownik na niwie społecznej, czyto jako członek Rady powiatowej przemyskiej i jej prezes, czy też jako poseł

na Sejm krajowy, którą to godność piastuje od r. 1895. Do austryackiego parlamentu wszedł z powszechnych wyborów w r. 1907. Z przekonania należy Dr. Czaykowski do stronnictwa konserwatywnego, stanowiąc w niem nader poważną siłę.



Fot. M. Münz Lwów.

Zapasy atletów-amatorów we Lwowie: Walka Lubieńskiego z Bornem.

Dotychczasowa działalnosć każe się spodziewać, że nowowybrany wiceprezydent godnie reprezentować będzie naszą narodowość i przewodzić Kołu Polskiemu, które jako jeden z najpoważniejszych klubów, musi mieć i ma decydujący wpływ na losy państwa i kraju.

Związek dziennikarzy polskich.

W ubiegłą sobotę dokonała się we Lwowie rzecz wielka. Powstał tam Związek dziennikarzy polskich, organizacya zupełnie nowa, której celem w statucie określonym, jest zjednoczenie prasy polskiej bez względu na różnice przekonań politycznych, do wspólnego postępowania w sprawach ogólno-narodowych oraz sprawach, dotyczących godności i zawodowych, interesów polskiego dziennikarstwa.

Związek ten powołany został do życia z inicyatywy Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie, w porozumieniu z Kasą literacką w Warszawie i Towarzystwem dziennikarzy i literatów w Poznaniu. Pierwszą myśl rzucono przed dwoma laty, dopiero obecnie jednak wykończono prace przygotowawcze i uzyskano zatwierdzenie statutu.

Do udziału w akcie zawiązania i ukonstytuowania się towarzystwa wezwano dziennikarzy lwowskich, krakowskich, warszawskich i poznańskich. Ze wszystkich tych miast przyjechali delegaci i wzięli udział w obradach.



Nowy komendant korpusu lwowskiego: Marszałek polny, porucznik Franciszek Schödler, dotychczasowy dowódzca 16 dywizyi piechoty.



Fot. M. Münz Lwów.

Zapasy atletów-amatorów we Lwowie: 1. Skulski. 2. Born. 3. Kazimirski. 4. Nowakowski. 5 Stachowski. 6. Grzymała. 7. Radwanek. 8. Buch. 9. Grek. 10. Sąsiada (sędzia). 11. Lubieński. 12. Zegarliński. 13. Harasymów (mistrz). 14. Bülow.



Fot. M. Münz Lwów.

Czescy posłowie we Lwowie: Wiceprezydent Zazvorka i dr. Hruban w Muzeum przemysłowem we Lwowie.

Toczyły się one w sali ratuszowej, pod przewodnictwem p. Chamca z Warszawy. Na zebraniu tem przyjęto statut, a następnie przedyskutowano kilka zasadniczych spraw, dotyczących organizacyi Związku. Nakoniec dokonano wyboru wydziału Związku. Prezesem wybrano p. Franciszka Rawitę-Gawrońskiego ze Lwowa, zasłużonego i cenionego powszechnie literata, jednym zastępcą dra Tadeusza Jaworskiego z Poznania, drugim zaś zastępcą zostanie osobistość, którą na tę godność powołają dziennikarze warszawscy ze swego grona. Nadto powołano do wydziału 12 osób, między tymi trzech dziennikarzy z Krakowa, oraz komisyę rewizyjną z 5 członków.

Na tem zakończyło się zgromadzenie, goście jednak krakowscy, warszawscy i poznańscy pozostali jeszcze przez całą niedzielę we Lwowie, podejmowani gościnnie i serdecznie przez Koło literacko-artystyczne, grono lwowskich dziennikarzy i prezydyum miasta; korzystając z wolnych chwil zwiedzono miasto, jego pamiątki i osobliwości.

Zdjęcie nasze przedstawia grupę gości z wiceprezydentem drem Rutowskim przed kurtyną Siemiradzkiego w gmachu Muzeum przemysłowego. Nadto zamieszczamy portrety prezesa i wiceprezesa Związku.

Nowy komendant korpusu lwowskiego.

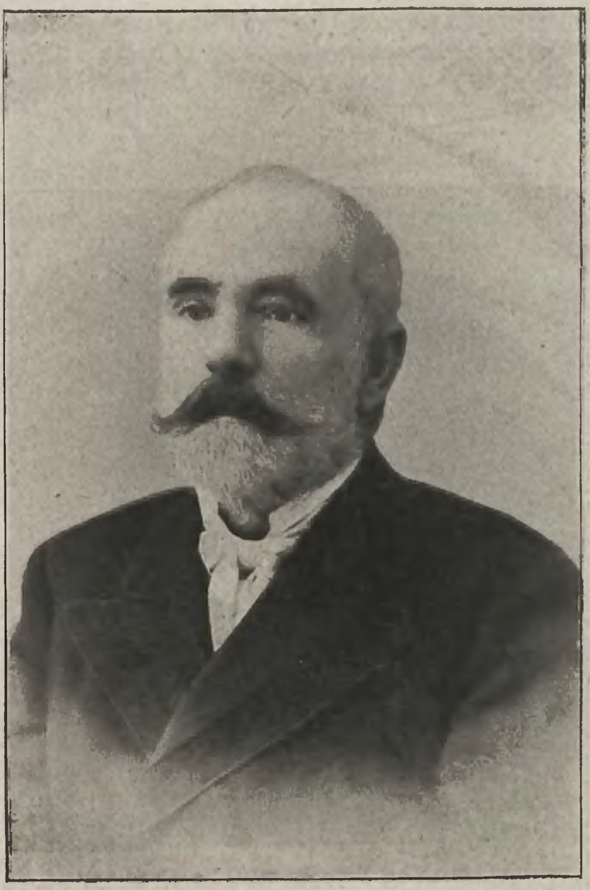
W ciągu ostatnich tygodni nastąpił cały szereg zmian na wyższych stanowiskach w armii austryacko-węgierskiej, zapewne z powodu niebezpieczeństwa wojny, która groziła ze strony Serbii. Sytuacya polityczna tymczasem się wyjaśniła, ale zmiany pozostały.

Lwów otrzymał przy tej okazyi nowego komenderującego dla swego korpusu. Ustąpił mianowicie Karol hr. Auersperg, a na jego miejsce powołany został z Hermansztadu w Siedmiogrodzie marszałek polny porucznik Franciszek Schödler.

Nowy komendant lwowskiego jest mężczyzną w sile wieku. Urodzony 1851 w Wiedniu, otrzymał wykształcenie w Terezyańskiej akademii wojskowej, którą 1871 r. opuścił jako podporucznik. Następnie uzupełnił swe wiadomości fachowe w akademii wojennej, dzięki zaś wybitnym zdolnościom i wielkiej obowiązkowości, awansował w bardzo krótkim czasie bo już 1880 r. został kapitanem sztabu generalnego.

W czasie swej służby wojskowej przebywał w rozmaitych miejscowościach, był też przez czas jakiś docentem akademii wojskowej. W r. 1900 został generał-majorem w Ołomuńcu, a 1905 r. marszałkiem polnym porucznikiem w Hermansztadzie.

Stamtąd powołano go obecnie na stanowisko komendanta korpusu do Lwowa.



Śladami Sven Hedina: Inżynier Aleksander Chojnacki z Kijowa.

Tragiczna śmierć profesora w Czerniowcach.

Zawód nauczycielski należy do bardzo ciężkich. Nigdzie może niepotrzeba takiego natężenia umysłu i nerwów, jak właśnie w tym zawodzie. To też i statystyka stwierdza, że wśród nauczycielstwa, choroby nerwów są niesłychanie częste.

Ofiarą swego żmudnego zawodu padł niedawno w Czerniowcach profesor rysunków w tamtejszej szkole realnej, Konstanty Maksymowicz. Od dłuższego już czasu zdrowie jego i równowaga umysłu pozostawiały wiele do życzenia. W ostatnich dniach stan zdrowia gwałtownie się pogorszył, aż straszna choroba umysłowa popchnęła nieszczęśliwego tego człowieka do samobójstwa. Oto w nocy opuścił on mieszkanie, udał się na dziedziniec i tam wskoczył do głębokiej studni.

Następnego dnia zdziwił się służący prof. Maksymowicza niezmiernie, gdy nietylko nie zastał swego pana w domu, ale gdy zauważył, że łóżko jego wcale nie było tknięte. Zaniepokojony tem w wysokim stopniu, zwłaszcza, że wiedział o chorobie zaginionego profesora, począł poszukiwania naprzód sam, a następnie przy pomocy policyi i domowników. Poszukiwania były przez długi czas bezskuteczne, aż ktoś wpadł na myśl, by szukać nieszczęśliwego i w studni. Posłano więc po studniarzy, jednego z nich spuszczono w głąb i tam istotnie znaleziono zwłoki profesora.

Wypadek ten wywołał w Czerniowcach duże wrażenie, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej, wśród której tak tragicznie zmarły nauczyciel cieszył się wielką miłością.



Tragiczna śmierć profesora w Czerniowcach: Ś. p. prof. Konstanty Maksymowicz.



Sport na usługach wojskowości: Członek c. k. korpusu motocyklistów, rekognoskujący ruchy nieprzyjaciela.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

14 Ciąg dalszy.

— Wracam od ciebie — odpowiedziała po cichu. — Zaraz po wyjściu pana Le Chars pobiegłam do ciebie, lecz mnie nie przyjęto. Czy wiesz, że twój mąż zakazał mnie wpuszczać.

— Co ty mówisz?

— Tak jest. Portier zażenowany, ponieważ zna mnie już dawno, nie chciał mi pozwolić wejść, bym poczekała na ciebie. Powiedział mi: takie otrzymałem rozkazy, tylko pan markiz może być dla pani widzialny.

— Zaraz to zbadam. Chodź ze mną. Przekonamy się, czy będą mieli zuchwałość wobec mnie...

— Po co, Auroro! Jeżeli markiz wydał taki rozkaz, cóż z tego, że go naruszysz?

— Lecz czyż ja dopuszczę, by przed tobą, droga Joanno, drzwi zamykano?

— Nie jesteśmy w zwykłych warunkach. Skorzystajmy z tego spotkania. Mam ci tyle rzeczy do powiedzenia!

— Nie możemy przecież rozmawiać na ulicy.

— Weźmy karetkę i jedźmy do Lasku.

Joanna opowiedziała przez drogę, nie opuszczając żadnego szczegółu, całą spowiedź Maurycego, wszystkie okoliczności towarzyszące śmierci Roberta i porwanie papierów przez „Czarną księżniczkę“. Wreszcie z pewnem wahaniem wspomniała i o poświęceniu się Maurycego, by uznać dziecko swego brata przez poślubienie Joanny.

W pierwszej chwili pani Morailles przeraziła się:

— Ależ ja nie mogę opuszczać swego syna!

Joanna, która jaśniej zdawała sobie sprawę z całego położenia, widziała w pragnieniu Maurycego jedyny środek ocalenia dziecka.

— Na to jednak trzeba się zgodzić, Auroro. Nigdy bowiem nie będziesz mogła uznać go za swego. Według prawa zawsze on będzie dla ciebie obcym. Że ty, Joanno, uchodzisz za jego matkę, z tem się już pogodziłam, lecz żeby pan Le Chars, zupełnie nieznany...

— Przecież to brat Roberta...

— Czy zgadzasz się na to małżeństwo?

— Wierz mi, że bez żadnej ukrytej myśli. Jedno mam tylko pragnienie, by tobie oszczędzić przykrości, by zabezpieczyć los twojemu dziecku.

— Och wy będziecie je kochali, nie porzucicie choćbyście mieli własne dzieci?

— Czyż możesz wątpić? — odpowiedziała Joanna, biorąc za rękę swą przyjaciółkę.

— Lecz nie widzieć Jacka! Ja nie zniosę tego rozłączenia.

— Pomyśl, że tylko w ten sposób możesz uśpić podejrzenia męża, uwolnić się od ciągłego śledzenia. Wenecya nie daleko, będziemy przyjeżdżali z Jackiem, a narazie masz drugiego syna.

— Dlatego też, by go nie stracić, nie porzucam domu na zawsze.

I markiza rozpłakała się, kryjąc twarz na ramieniu Joanny.

* * *

Pan Morailles dowiedział się z zadowoleniem, że Abel Smith czeka. Detektyw usadowił się w jego gabinecie w wygodnym fotelu i przeglądał illustracye.

— Cóż więc się stało, drogi Roggers, z tą piękną damą?

— Pojechała....

— Pojechała?

— Tak, przedtem jednak z pomocą Cockleya wyciągnąłem z niej zeznania.

— Zeznania?

— Tak. Pewna siebie kreatura, chociaż ponętna. Tak, tak. Ale nasz gatunek ludzi jest od takich wpływów zabezpieczony.

— Ale ma pan papiery, jakie chciała sprzedać?

— Jakie papiery?

— List i depeszę.

— Mistyfikacya, *dear sir!* Zmyślone! Nigdy nic podobnego nie istniało.

— Cóż znowu!

— Słowo! — odpowiedział Roggers flegmatycznie, lecz z pewnością w głosie. Potem zmyślał dalej:

— Naiwna! czy pan wie, że ta naiwa wysłała takie listy nie tylko do pana, lecz do innych.

— Co pan mówi? czy doprawdy?

— Miała sporo tych listów, zupełnie podobnych do pańskich i przygotowanych już do wysłania w kopertach z naklejonemi markami.

— Nie?... czyż możliwe?

— Tak, jak mówię! Prawda, jest pan przyjacielem księcia d'Eylau?

— Tak.

— Bardzo dobrze, miał on dostać jutro swoją porcyę... A baron Levhiel?

— Członek klubu.

— Doskonale. I dla niego był pakiecik.

Ton szczerości w głosie Roggersa, swoboda i naturalność w zachowaniu się, zaczęły przekonywać markiza.

— To nieprawdopodobne?

— Dlaczego? Bardzo możliwe. Ta Colson — tak się ona nazywa — grała na pewnego. Czyż wielu jest ludzi, którzy nie mieliby nic go ukrycia?

Markiz przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju awantur, z trudnością mógł uwierzyć w coś podobnego; patrzył Roggersowi prosto w oczy, lecz ten najspokojniej wytrzymał jego wzrok i grając dalej swą rolę, mówił tonem konfidencyonalnym:

— Wie pan, że jest to uczestniczka kradzieży u Sunda. Awanturnica pierwszej klasy, występująca z powodzeniem w wielkim świecie. Pan zapewne o niej słyszał: księżna Strekow.

— Acha, tak! Wszędzie wynikały skandale, gdzie ona była. Istotnie, to ona?

— Ona, tylko już nie tak młoda, nie tak piękna, zrujnowana bez wątpienia i w dadatku wspólniczka bandy międzynarodowych złodziei.

— To niezwykłe. Lecz jak, mój drogi Roggers— nie wątpię o pańskiem słowie — jak pan przekonał się, że ten list i depesza nie istnieją.

— To bardzo proste — odpowiedział detektyw obojętnie. — Widząc, że partya przegrana, gdyż wtedy już położyłem rękę na brylantach mistress Sund — opowiem to panu później — Colson napisała w moich oczach i podpisała list, w którym przyznaje się do szantażu.

— A ten list? — zapytał pan Morailles.

— Oto jest.

Roggers podał go markizowi, który przeczytał zaraz to zeznanie, poczem rzekł z ulgą:

— Istotnie!... Jakże ja wdzięczny jestem panu, mój drogi Roggers.

— Ależ nic. Bardzo proste. Mój zawód — odpowiedział lakonicznie detektyw.

— Pan markiz zamyślony, przyglądał się ciągle listowi księżnej Strekow. Spadł mu ciężar z serca. Duma jego przestała cierpieć, że on, nowożytny don Juan może być zdradzony i to przez własną żonę.

— Chodźmy już na śniadanie. Pan mi opowie— przyrzekam być dyskretnym — jak pan sobie poradził z tą wschodnią księżniczką.

— Bardzo chętnie. Lecz zachowa pan to w tajemnicy. Mój zawód!

— Słowo Morailles'a.

— A więc dobrze. Dokąd pan prowadzi?

— Do *America-Club.*

— Wiem, że dobra tam kuchnia.

— A wina jeszcze lepsze.

— Przypuszczam. Lecz żadnych ekscesów. Nocą jadę do Newhawen.

— W takim razie należy pan do mnie, aż do odjazdu.

— Z przyjemnością, chyba, że coś niespodziewanego... sprawy!

— Ponieważ nie zna pan mojej stajni, po południu pojedziemy do Chantilly. Dobrze?

— *All Right!*

Kuchnia „Amerykańskiego Klubu“ zasługiwała w zupełności na swą dobrą renomę. Markiz rozkoszował się potrawami. Roggers jadł w miarę, pił mało, mówił dużo. Chciał przez naturalny ton i szczegóły jasno określone, wzbudzić w markizie zupełną wiarę w swe opowiadanie. I to udało mu się.

Pan Morailles z początku zamyślony, zaczął zwolna pod wpływem wykwintnego śniadania pozbywać się swych podejrzeń; traciły one stopniowo w nim grunt, pozostało jednak wspomnienie rannego spotkania, które ciągle wydawało mu się niejasnem. Roggers śledził jego myśli i spostrzegł, jak znowu zasępia się. Uznał, że trzeba zmienić miejsce i otoczenie.

— Miał mi pan pokazać swe wyścigowce?

— Dobrze, jedźmy w takim razie do Chantilly.

Wkrótce pomknęli samochodem. Markiz zaczął zwolna przejmować się opowiadaniem o koniach, gdy Roggers zamyślił się, jak uśpić jego podejrzenia i jeszcze przed wieczorem oddać pani Morailles list i depeszę.

XXIV.

ZOFIA MILCZY, MISS HALLAM MÓWI.

Długa rozmowa obu przyjaciółek dobiegała wreszcie *końca*. Joanna zwierzyła się jeszcze pani Morailles ze swemi obawami co do Wiery. Przedtem jeszcze *była na ulicy* Raynouand, by dowiedzieć się u garbatej *gospodyni*, czy Wiera wróciła. Sklep jednak był *zamknięty*, na zapuszczonych żaluzyach był przylepiony kawałek papieru z napisem „zamknięte z powodu nieobecności“. A co najdziwniejsze, zdawało się jej, iż spotkała tam tego samego ajenta, który śledził ją po wyjściu od prefekta. Stał on z boku i obserwował sklep. By nie zwracać na siebie uwagi, przeszła obojętnie, jakby ta restauracya i ten sklep z winami wcale jej nie interesował, choć serce mocno biło jej w piersiach.

Czy policya śledzi towarzyszy Wiery i ją samą? Gdzie ona teraz znajduje się. czy jej co złego nie grozi?

Pani Morailles podzielała te obawy, lecz nie tak przejęła się niemi jak Joanna; zbyt ciążyły na niej własne troski.

Karetka zatrzymała się.

— Muszę wyjaśnić ten zakaz mego męża — odezwała się markiza.

— Bądź tylko ostrożną.

— Zaraz ci wszystko napiszę.

Pani Morailles udając się do siebie, zaszła jak zwykle do pokoju Andrzeja. Pojechał o jednak na spacer, była tylko guwernantka. Minę miała smutną i poważną, zajęta układaniem rzeczy do przyszłego wyjazdu. Przy wejściu markizy zawahała się z początku, potem odezwała się:

— Pragnę przez chwilę pomówić z panią markizą.

— Proszę, miss Hallam.

— Pani zawsze była bardzo dobrą dla mnie. Ja tego nigdy nie zapomnę. Chociaż ja nie byłam pani powiernicą, uważam jednak za swój obowiązek przestrzedz panią przed swym odjazdem o niebezpieczeństwie...

— Pani odjazd?... Co to znaczy?

Miss Hallam opowiedziała o rozmowie z markizem i o swem zachowaniu się.

— Bardzo serdecznie pani dziękuję, — odrzekła wruszona pani Morailles — niczego innego nie mogłam spodziewać się od pani szlachetności.

Po chwili dodała:

— Pani sobie zapewne przypomina, iż już tłomaczyłam swą nieobecność w Roche-Forte z powodu choroby pani Dandre, której nie mogłam pozostawić samej.

Miss Hallam skłoniła głowę, jak ktoś, kto nie chce poznać rzeczwistych przyczyn jakiegoś czynu:

— Pani mi powiedziała to, co uważała za stosowne: ja nie mogę się mięszać w cudze tajemnice, na to tylko chcę zwrócić pani markizie uwagę, iż nie wszystkie spojrzenia, jakie pani tutaj dokoła siebie spotyka, są jednakowe szczere.

— Co to znaczy, miss Hallam? — zapytała markiza przestraszona tajemniczemi słowami starej panny.

— Nie wszyscy, którzy żyją pod tym dachem mogą odczuć to, co się w pani dzieje. Pani ma tu nieprzyjaciół, panią zdradzono, wydano mężowi.

— Kto taki.

— Niech pani szuka koło siebie. Nie chcę nikogo zdradzać. Pani może wierzyć w moje przywiązanie do Andrzeja, ono mnie skłania do przestrzeżenia markizy.

— Pani coś wie, miss Hallam, pani podejrzewa więcej niż chce mi powiedzieć...

— Niech pani markiza o nic mi się nie pyta.... Przed wyjazdem swym chcę tylko ostrzedz panią i życzyć szczęścia, jakiego pani jeszcze nie zaznała.

Łzy okazały się w oczach pani Morailles. A więc guwernantka wszystko wiedziała, poznała całą tajemnicę, kryjąc ją w sobie.

— Tak, miss Hallam, każdy z nas ma swój krzyż. Pani współczuła mi. Jakże ja mogę teraz odwdzięczyć się? Czy zechce mnie pani pocałować?

— Z całego serca!

I stara purytanka, która poprzednio nie przyjęła ręki podanej przez pana Morailles, objęła serdecznie markizę.

Gdy pani Morailles wróciła do siebie, zaraz Zofia pospieszyła zdjąć jej obuwie i zmienić suknię. Zawsze szukała sposobności, by coś się odezwać, odgadnąć chęci swej pani, teraz milczała niezmiało.

Jeżeli kto mnie zdradził pomyślała markiza, to nie kto inny, jak ona.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę zobaczyć, kto tam.

Pokojówka wyszła.

— To Kajetan, proszę pani, chce coś powiedzieć.

Wszedł stary służący cały wzruszony.

— Ja przepraszam panią markizę; jest jakiś pan, który chciałby... i telefonowano ze Chantilby... Pan markiz wsiadając na „Esclarmonde“, by pokazać przyjacielewi... Niech pani nie przestrasza się... telefonowałem do doktora Crux... Za pół godziny przywiozą pana....

— Co się stało?... Proszę mówić prawdę!.... — zawołała markiza.

Kajetan urywanemi słowami tłomaczył:

— Biorąc przeszkodę, „Esclarmonde“ źle stanęła.. upadła razem z panem... noga zgnieciona i... na nieszczęście głowa na kamień... Ale najlepiej opowie przyjaciel pana markiza, który tam był, pan Abel Smith...

— Chcę widzieć tego pana...

— On już czeka w szklanej sali.

— Proszę zaprowadzić pana do mego salonu.

Pani Morailles doznała uczucia litości dla męża, którego nie kochała, nie szanowała, a nawet czasami nienawidziła i obawiała się.

W salonie skłonił się przed nią gentleman w najbardziej elegancki sposób.

— Pan Abel Smith? — zapytała.

— Markiz może wspominał o mnie pod drugiem nazwiskiem: Roggersa.

— Ach, tak, panie, często. Pan okazał wielką pomoc mężowi w ostatniej jego podróży.

— A teraz — odrzekł z wdzięcznym ukłonem — los zmusza mnie do dania pani dowodu mego poważania a zarazem i zasmucenia wiadomością...

— Mój mąż?... czy niebezpiecznie ranny?... — pytała szybko. — Lecz proszę niech pan siada i opowie mi wszystko.

— Mój Boże — zawołała pani Morailles, blednąc. — Lecz to nie niebezpieczna rana?

— Sądzę, że nie — odpowiedział poważnie Roggers — mam całą nadzieję. Wrócił do przytomności.

I dodał:

— Nietylko ta smutna misya, markizo, powiadomienia o wypadku sprowadziła mnie tutaj, lecz i troska o ocalenie pani.

— Nie rozumiem pana.

— Okoliczności pozwoliły mi raz oddać pewną usługę markizowi, chciałbym drugą oddać pani. Czy pani nie była kiedykolwiek niespokojna z powodu zagubienia jednego listu i depeszy? Wypadek, nic więcej tylko szczęśliwy wypadek dał mi możność odebrać je — wchodzi to w zakres mego zawodu — od niegodnej kobiety, która chciała pobudzić niemi zazdrość markiza i je sprzedać.

Na twarzy pani Morailles malowało się straszne cierpienie, strach i wstyd.

— Kobieta ta chciała panią zgubić. Czy udałoby jej się to, nie wiem. Markiz jednak chciał otrzymać te papiery. Ponieważ one należą do pani raczej, niż do męża, zdawało mi się, że nie mam nawet prawa, jako uczciwy człowiek, zastanawiać się nad ich dalszem przeznaczeniem.

Roggers wyjął z portfelu list i depeszę.

— Zwracam je i ośmielam się dać jedną radę, zniszczyć je natychmiast.

— Tak, pan ma racyę — odrzekła markiza, kryjąc twarz w dłonie. — Ach, panie... niech pan ma litość nad mem upokorzeniem; nie mam sił wyrazić panu swej wdzięczności.

— Niech pani nic nie mówi, tylko spali je zaraz.

Drżącemi rękami zaświeciła markiza świecę i przytknęła do jej płomienia mały zwitek papieru, który następnie rzuciła do kominka. Zaledwie one spopieliły się, gdy rozległy się czyjeś kroki i ukazała się Zofia:

— Proszę pani, już niosą pana markiza.

Pani Morailles zwróciła wdzięczne oczy na Roggersa i rzekła, podając mu rękę.

— Dziękuję panu.

Pocałował jej rękę i cofnął się dyskretnie, gdy markiza podążyła natychmiast do pokoju męża.

Przy drzwiach zatrzymał ją Kajetan:

— Przy panu markizie znajduje się teraz doktór Crux i jego asystent doktór Saffroy. Pan markiz prosi, by pani markiza była łaskawa poczekać, aż będzie mógł ją przyjąć w odpowiedniejszym stanie.

— Dobrze, proszę powiedzieć doktorowi Crux, by jak najprędzej dał mi znać o zdrowiu pana markiza — i wyszła do sąsiedniego pokoju.

Po chwili drzwi się otworzyły i na progu ukazał się sławny doktór, okrągły, otyły, o wielkiej głowie, krótkim nosie i wielkich złotych okularach. Pani Morailles czuła do niego antypatyę: co wartał jako lekarz, nie mogła sądzić, lecz jako człowiek nie podobał się jej. Oskarżano go o chciwość, opowiadano o procesach, jakie mu wytaczali pacyenci, od których żądał wielkich sum, mimo iż operacye nie powiodły mu się. Był jednak w modzie, miał sławę, a to starczyło za wszystko. Spojrzał na markizę wzrokiem uniżonym, a zarazem i przenikliwym i skłaniając nisko głowę, odezwał się:

— Mąż pani powraca z daleka. Szczęście, iż ma twardą czaszkę; inny na jego miejscu, rozłupałby ją sobie na połowę. Uderzenie było silne, lecz markiz wytrzyma...

— Ale, mówiono mi, że ma nogę złamaną.

— O, to nic wielkiego, — odpowiedział lekceważąco doktór — nie pociągnie to za sobą żadnych następstw... Teraz cierpi wiele...



Drżącemi rękami zaświeciła markiza świecę i przytknęła do jej płomienia mały zwitek papieru.

Mówiąc to, uśmiechał, się, jakby opowiadał najprzyjemniejszą rzecz.

— Kilka tygodni odpoczynku w aparacie gipsowym i wszystko przejdzie.

— Czy można tam iść?

— Markiz pragnie w tej chwili mieć przy sobie tylko lekarzy... I ma racyę, Pani, droga markizo, jest blada, drżąca. To wszystko nerwy. Pani nie może znieść cierpienia, lecz my jesteśmy do tego przyzwyczajeni — powiedział z miną napuszoną, jak żołnierz na polu walki wśród gradu kul. By panią uspokoić, powiem jeszcze raz, że nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo. Zresztą zaraz pani przekona się o tem, gdyż markiz za chwilę, będzie już mógł przyjąć panią markizę.

Skłonił się z wielką powagą. by nie uronić przypadkiem nic ze sławy swej znanego doktora i wyszedł.

Napróżno markiza czekała. Kilka razy podchodziła do drzwi pokoju męża, lecz markiz nie mógł jej jeszcze przyjąć. Dopiero na drugi dzień Kajetan oznajmił jej:

— Pan markiz oczekuje pani markizy.

* * *

XXV.

DECYDUJĄCA CHWILA.

Pan Morailles spoczywał na łóżku; głowę miał przewiązaną bandażem. Twarz bielsza była od poduszki, na której opierał się, oczy świeciły się gorączkowo.

— Dziękuję za troskliwość — odezwał się z powstrzymywanym uśmiechem — z jaką dowiadywałaś się o mnie.

— Czy czujesz się lepiej? Doktór Crux wydawał się bardzo zadowolonym.

— Crux jest doktór „Tem lepiej“ a jego asystent Saffroy doktór „Tem gorzej“. Jeżelibym słuchał pierwszego, to mógłbym już tańczyć, a jeżeli drugiego, to winienbym zawezwać rejenta i sporządzić testament. W gruncie jednak nie bardzo dobrze się czuję.

— Istotnie, rękę masz gorącą.

I pani Morailles chciała usunąć swą dłoń którą on jednak przytrzymał silnie. Patrzył jej prosto w oczy. Mimo woli wstrząsła się cała. Spostrzegł to i postanowił skorzystać odrazu z jej zmieszania. Ciągle o tem myślał. Z początku przeklinał ten wypadek, który go ubezwładnił na kilka tygodni, odjął swobodę ruchów wówczas, gdy chciał jaknajbardziej rozporządzać sobą. Postanowił za wszelką cenę wydobyć na wierzch całą tajemnicę, przeniknąć ją i właśnie teraz znalazł się bezsilnym. Wściekłość go ogarniała, zgrzytał z gniewu i bezsilności zębami. Ach, jeżeli ona go zdradziła, pomści się, żadna męka nie będzie za lekka dla niej. Wszystko wiedzieć! to było pragnienie, które mu paliło wnętrzności. Najmniejsza cząstka prawdy byłaby dla niego orzeźwiającą jak kropla wody, ale ona mu jej nie da, ona nic nie powie. W jej słabości czuł siłę. Ona miała tę moc męczenników, którzy raczej konali z uśmiechem na ustach, niżby mieli wypowiedzieć choć jedno słowo, na które czekał ich kat.

Nie zmusi jej do wyznania prawdy, a więc użyje podstępu. Ten stan jego słabości może mu teraz dobrze posłużyć. Skorzysta z jej pomieszania i niepokoju, doprowadzi ją to do zdenerwowania najwyższego, by zapuścić do jej serca sondę, by przeniknąć jej trwożliwe myśli. Jeżeli niczego nie dowie się, będzie mógł potem tłomaczyć to badanie swym podnieconym stanem, silniejszą gorączką.

— Tak nie czuję się dobrze.... Dziwne to uczucie, Auroro, tak naraz w środku życia zdać sobie sprawę, że śmierć nam grozi, że z każdą minutą zbliża się ona po nas. Zły los czyha na nas zawsze, by pochwycić nieprzygotowanych. W taką noc bezsenną, gdy jest się samemu, gdy cierpienie męczy, gdy godziny płyną wolno jak dnie i tygodnie, człowiek zaczyna zastanawiać się. Tak, dużo myślałem i ze smutkiem doszedłem do wniosku, że jestem winien względem ciebie, Auroro...

— Nie mówmy o tem, — odrzekła pani Morailles jakby zawstydzona.

Markiz żył jak chciał, nie troszcząc się nigdy o żonę. Byli małżonkami z imienia tylko, w istocie bowiem rozwiedli się już dawno, zachowując zaledwie pozory wspólnego pożycia. Po co więc poruszać te zagasłe już popioły.

Odpowiedział:

— Nie, mówmy właśnie o tem, ulży to memu sumieniu, które jest ciężkie. Nie byłem wiernym małżonkiem, jakim winienem być... Nie oddawałem ci sprawiedliwości, wynosząc po nad ciebie niegodne rywalki. Jeżeli miałbym umrzeć teraz, uważałbym życie swe za chybione... Dlaczego tak późno poznaję tę prawdę?

Markiza poruszona tym tonem, nie przeczuwając ukrytej myśli w słowach jego, widziała tylko szkodliwe dla zdrowia podniecenie.

— Doktór zalecił ci spokój, byś mało mówił.

— Auroro, czyż ja będę miał jeszcze chwilę takiej rozmowy, zawołał z doskonale udanem przejęciem. Chciałbym odkryć ci swe serce, byś czytała w niem cały mój żal i wszystkie wyrzuty. Jeżeli nie powstanę już z tej choroby, abym chociaż mógł powiedzieć sobie, iż mi przebaczyłaś...

(Ciąg dalszy nastąpi).

W walce z Watykanem.

Za czasów pontyfikatu Leona XIII. rozwinął się silnie w świecie katolickim prąd, zmierzający do



W walce z Watykanem: Don Romolo Murri.

zmodernizowania katolicyzmu, t. j. przystosowania go do nowożytnych warunków społecznych. Prąd ten zaznaczył się bardzo wyraźnie we Włoszech,



Na południe: Tłumy Krakowian przed dworcem, żegnające odchodzących rezerwistów.



Na południe: Pożegnanie rezerwistów na dworcu kolejowym.

gdzie katolicy w myśl zasady, wygłoszonej w Watykanie z chwilą upadku państwa kościelnego: *ne elettori ne eletti*, nie mogąc brać udziału w życiu politycznem, skierowali się na drogę pracy społecznej. Zaczęły powstawać liczne stowarzyszenia katolickie o charakterze ekonomicznem, zarobkowe, współdzielcze itd., oraz wzrastała w siłę prasa katolicka. Była to reakcya zupełnie naturalna wobec bezwzględności, z jaką katolicy traktowani są przez liberałów, będących u steru rządów we Włoszech.

Jednym z najruchliwszych i najgłośniejszych przedstawicieli tego nowego prądu we włoskim świecie katolickim jest ksiądz Romolo Murri. Poszedł on jednak, jako przedstawiciel tak zwanej demokracyi chrześcijańskiej, tak daleko w sych zapędach reformatorskich, że znalazł się w jednym szeregu z socyalnymi demokratami, najzaciętszymi wrogami katolicyzmu.

Kurya rzymska ostrzegała kilkakrotnie ks. Murriego przed zbyt daleko sięgającą działalnością reformatorską. Nie pomagały jednak wiele jej ostrzegania, bo ks. Murri dał się wybrać przy ostatnich wyborach do parlamentu włoskiego, jako poseł z Montegiorgio. To ściągnęło na niego wielką ekskomunikę, gdyż Watykan milcząco pozwolił wprawdzie duchownym głosować przy wyborach, lecz nie zgodził się na to, aby byli obierani posłami. Przyjąwszy mandat, każdy poseł musi złożyć przyrzeczenie wierności dla konstytucyi, a tem samem pośrednio potwierdza aneksyę Rzymu i zniesienie władzy doczesnej papieża. Tego zaś, zdaniem Watykanu, żadnemu księdzu katolickiemu we Włoszech uczynić nie wolno.

Ksiądz Murri zlekceważył sobie ekskomunikę Watykanu, przyjmując mandat i w ten sposób popadł z nim w otwarty konflikt. Czy wyjdzie zwycięzko z walki, rozpoczętej z tak potężnym przeciwnikiem— to wielkie pytanie. Tymczasem sfery antyklerykalne we Włoszech cieszą się mocno zgorszeniem, jakie wywołał.

Na południe!

W ubiegłym tygodniu obiegła Kraków wiadomość, że do Bośni odchodzi batalion 13 p. piechoty. Ponieważ jest to pułk rekrutujący się z Krakowa i okolicy, dopytywano się troskliwie, kiedy nastąpi odmarsz, aby módz bodaj na dworcu pożegnać się z odchodzącymi. Wiadomość okazała się fałszywą. Nie odchodził wcale żaden nowy batalion, komenda wysyłała tylko powołanych rezerwistów, którzy mieli uzupełnić wysłany już poprzednio batalion tegoż pułku. Nie robiono też z tego tajemnicy i we środę dnia 24 marca przed południem pomaszerowały przy dźwiękach muzyki „Krakowskie dzieci“ na dworzec kolejowy, gdzie na peronie osobowym nastąpiło załadowanie. Tysiące Krakowian pospieszyło za nimi, wielu pociągnęło także zwabionych pięknymi marszami, jakie muzyka przygrywała.

Ochoczo, z dziarską miną maszerowali żołnierze,



Olbrzymi strejk w Paryżu: Żołnierze zastępują na dworcu kolei północnej służbę pocztową.



Olbrzymi strejk w Paryżu: Aresztowanie jednego ze strejkujących urzędników pocztowych.

a choć w ostatniej chwili niejednemu zakręciła się w oczach łza na wspomnienie dalekiej drogi, jaka go czeka i na widok najbliższych, którzy go żegnali, pocieszała ich jednak myśl, że w krótkim czasie powrócą znowu nad swą kochaną Wisłę.

I rzeczywiście wyjechali pod dobrą wróżbą, gdyż zaraz nazajutrz horyzont polityczny wyjaśnił się o tyle, iż wobec zgody wszystkich mocarstw na aneksyę, niebezpieczeństwo wojny jest zupełnie prawie zażegnane.

Odjeżdżającym, których ze względu na daleką drogę pomieszczono wygodnie w wagonach osobowych, towarzyszyły serdeczne życzenia szczęśliwej drogi i rychłego powrotu oraz zapewnienia, że najbliżsi nie zapomną o nich w czasie zbliżających się świąt Wielkanocy, które choć przyjdzie im spędzić na obczyźnie, to jednak w przeświadczeniu, że serca nasze i myśli są z nimi!

Illustracya nasza przedstawia dwa zdjęcia fotograficzne, sporządzone przez naszego fotografa przed dworcem krakowskim i na peronie osobowym.



Echa wojenne: Król Piotr I.

Olbrzymi strejk w Paryżu.

Nowożytne stosunki ekonomiczne, ujarzmiwszy poniekąd olbrzymie rzesze pracowników, czy to w przedsiębiorstwach prywatnych, czy też prowadzonych przez państwo, dały im równocześnie do ręki broń bardzo niebezpieczną, a mianowicie bezrobocie, dla którego utarła się u nas nazwa strejku, pochodząca z Anglii, bo tam zaczęto naprzód uciekać się do tego środka presyi na pracodawców. Broń to dlatego niebezpieczna, bo niewłaściwe jej użycie może spowodować olbrzymie straty ekonomiczne, które odbijają się najczęściej tak dobrze na kieszeni pracodawcy, jak i robotnika.



Olbrzymi strejk w Paryżu: Ekspedycya wózków z listami przez żołnierzy.

Świeżo zakończony olbrzymi strejk urzędników i służby pocztowo-telegraficznej w Paryżu, o którym pisma codzienne podawały szczegółowe sprawozdania, przyniósł im zwycięstwo pyrrusowe, bo naraził handel i przemysł francuski na milionowe straty. Jakie chwilowo wynikły stosunki skutkiem tego strejku, daje wyobrażenie fakt, że w Paryżu, gdzie normalnie bywa doręczanych dziennie 100.000 depesz telegraficznych, doręczano ich 12.000 zaledwie. W tym samym stosunku odbywała się ekspedycya listów, przekazów pieniężnych i przesyłek pocztowych. W wielu miejscach na prowincyi popsuto przewody telegraficzne, a komunikacya telegraficzna z zagranicą prawie nie istniała. Król Edward np., bawiący obecnie w Biarritz, odcięty był przez trzy dni od Londynu, tak, że, chcąc się porozumieć ze swymi ministrami, musiał posłańcem automobilowym wysyłać depesze do najbliższej stacyi telegraficznej w Hiszpanii, skąd je dopiero ekspedyowano do stolicy Anglii. Wiele domów handlowych francuskich i angielskich, utrzymujących



Echa wojenne: Były następca tronu, książę Jerzy.

wzajemne stosunki, urządziło na czas strejku własną służbę pocztową, co oczywiście pociągnęło za sobą kolosalne wydatki. I tak, obliczono, że kupiec francuski, który mógł zapomocą depeszy, kosztującej 12 franków 50 centymów, załatwić swój interes w Londynie, wysyłając specyalnego kuryera z tym interesem, musiał wydać conajmniej 130 franków.

Ryciny nasze illustrują pojedyńcze epizody tego niebywałego strejku, w czasie którego rząd był zmuszony użyć żołnierzy, aby zapobiedz zupełnemu wstrzymaniu funkcyi poczty i telegrafu w stolicy Francyi.

Echa wojenne.

W chwili, gdy piszemy te słowa, polityczny horyzont europejski cokolwiek się rozjaśnił, daleko jednak do tego, aby można twierdzić, że pokój na Bałkanie jest zapewniony. Opinia publiczna w Serbii wprawdzie znacznie otrzeźwiała, gdy przekonano

się, iż na czynną pomoc któregokolwiek z mocarstw nie można rachować, mimo to wrzenie umysłowe, wywołane w Serbii niesumienną agitacyą szowinistyczną, nie rokuje aby kraj ten odrazu powrócił do stosunków normalnych i to tem więcej, że bandy ochotnicze serbskie mogą na terytoryum bośniackiem rozpocząć swą działalność, choćby oficyalna Serbia wyrzekła się wszelkich z niemi stosunków.

Dalej znów wewnętrzna sytuacya Serbii jest tego rodzaju, że grozi tam wybuch rewolucyi przeciw dynastyi Karageorgiewiczów, która zachowaniem się ks. Jerzego została gruntownie skompromitowaną w oczach Serbów i całego świata. Zrzeczenie się praw do tronu ze strony tego operetkowego księcia, z jednej strony ułatwiło zadanie partyi pokojowej, lecz z drugiej — powiększyło wewnętrzny zamęt serbski, który prawdopodobnie będzie powodem, że mocarstwa powierzą Austro-Węgrom mandat zrobienia jakiegoś porządku w tym nieszczęsnym kraiku. W każdym razie na całej tej zawierusze, grożącej od kilku miesięcy wybuchem wojny, najgorzej wyszła nasza monarchia, wydawszy miliony na utrzymanie pogotowia wojennego, a nie mając wzamian nadziei otrzymania jakichś pozytywnych korzyści.

Ryciny nasze illustrują rozmaite aktualne momenty obecnej sytuacyi. I tak, pomieszczamy portrety: niefortunnego władcy Serbii, króla Piotra, który jest



Echa wojenne: Posiedzenie Skupczyny serbskiej, na którem uchwalono nadzwyczajne kredyty wojenne.



Echa wojenne: Generał piechoty Vareszanin czyni przegląd kompanii honorowej na dworcu kolejowym w Sarajewie.



Echa wojenne: Most na rzece Sawie.

bezwładną igraszką w ręku burzliwych stronnictw politycznych i swego otoczenia, ks. Jerzego, który swem postępowaniem zdradzał umysł nienormalny i dzikie instynkty i jego młodszego brata, ks. Aleksandra, liczącego lat 21, na którego przeszły obecnie prawa do chwiejącego się tronu. Dalej podajemy zdjęcie fotograficzne z posiedzenia Skupczyny, na którem uchwalono nadzwyczajne kredyty na cele wojenne, żądane przez ministra wojny Żiwkowicza, oraz portret rosyjskiego pozasłużbowego generała



Echa wojenne: Generał Lipowacz.

Lipowacza, mającego objąć dowództwo nad serbskimi oddziałami ochotniczymi; jeden z takich oddziałów przedstawia inna rycina. Podajemy także portret serbskiego dziennikarza i byłego dyrektora teatru prowincyonalnego, Nuszicza, autora płomiennych odezw przeciw Austryi i jednego z najgorliwszych organizatorów oddziałów ochotniczych. O wyglądzie regularnego wojska serbskiego daje wyobrażenie inna rycina.

Duże znaczenie strategiczne, na wypadek wojny austryacko-serbskiej, posiada wielki most kolejowy na Sawie, na linii, idącej przez Zemuń do Belgradu. Na rycinie naszej widać posterunki wojskowe, pilnujące tego mostu od strony austryackiej. Po drugiej stronie stoją posterunki serbskie.

O flotyli rzecznej austryacko-węgierskiej pisaliśmy już kilkakrotnie w *Nowościach Ilustrowanych.* Tym razem podajemy fotograficzne zdjęcia dwóch monitorów w czasie, gdy stoją u brzegu na rzece Sawie. Do poprzednich objaśnień o tych statkach dodajemy, że wszystkie sześć monitorów posiada dziesięć sztuk dział o kalibrze 12 cm., 2 haubice



Echa wojenne: Następca tronu serbskiego, książę Aleksander.

o kalibrze 12 cm., 4 działa o kalibrze 7 cm., 4 o kalibrze 47 mm., 4 o kalibrze 37 mm. i 8 dział szybkostrzelnych o kalibrze 8 mm. Pancerz ich, wyrobiony ze stali niklowej, posiada grubość od 50 do 75 mm., załoga wynosi 450 ludzi.

Inna wreszcie rycina przedstawia generała piechoty Vareszanina, nowomianowanego szefa rządu krajowego Bośni i Hercegowiny, oraz komendanta XV korpusu, gdy czyni przegląd kompanii honorowej, oczekującej go na dworcu w Sarajewie, dokąd przybył w ubiegłym tygodniu. Zarówno ze względów czysto wojskowych, jakoteż ze względów politycznych — prowincye anektowane otrzymają w najbliższym czasie urządzenia konstytucyjne — posada, którą objął generał Vareszanin jest wielce odpowiedzialną i ważną. Obowiązki z nią związane tem trudniejsze są do wypełnienia, ponieważ sytucya na południu monarchii jest wciąż niejasna i bardzo naprężona.

Nakoniec podajemy, celem ułatwienia Czytelnikom oryentacyi co do możliwego terenu działań wojennych, mapkę Serbii.

Śladami Sven-Hedina.

Nader doniosłe znaczenie dla rozwoju cywilizacyi, mają ekspedycye naukowe, urządzane w okolice dotąd mało znane, dokąd nie doszło jeszcze światło europejskiej kultury. Nasze społeczeństwo niestety zbyt mało zajmuje się temi sprawami, dlatego nieliczne wyjątki zasługują na publiczne uznanie i poparcie wedle sił i możności.

Rodak nasz, pan Aleksander Chojnacki, obywa-



Echa wojenne: Bronisław Nuszicz.

tel miasta Kijowa, wielki miłośnik natury, myśliwy i podróżnik, przedsięwziął dotąd dwie ekspedycye naukowe, jedną do Syberyi, drugą do Turkiestanu, a przekonawszy się o ich kulturalnem znaczeniu, zapragnął rozbudzić w naszem społeczeństwie zamiłowanie w tym kierunku. Jeszcze w r. 1906 rozpoczął pan Chojnacki organizować wspólną naukową wycieczkę do centralnej i północno-wschodniej Afryki. Senat uniwersytetu kijowskiego, któremu przedstawiono program, zwrócił się do Towarzystwa geograficznego z prośbą o pomoc i ułatwienie formalności w ministerstwach spraw wewnętrznych i zagranicznych. Zanim jednak sprawa przejdzie urzędowy alembik, zaprojektował pan Chojnacki krótszą i łatwiejszą wycieczkę wspólną w głąb środkowej Azyi. Najświeższe badania tajemniczej głębi Tybetu, dokonane przez znakomitego podróżnika Sven-Hedina, obudziły i u nas powszechne zainteresowanie, należy się więc spodziewać, że i projektowana przez pana Chojnackiego wycieczka w te same strony, powinna się udać. Przypuszczalny skład ekspedycyi będzie stanowiło 5—6 członków, naukowy personal będą składać medyk, przyrodnik, preparator i fotograf. Wyjazd nastąpi z Odessy, powrót przypuszczalnie za 10 do 14 miesięcy. Przypuszczalne koszta wyprawy wyniosą około 8000 rubli od osoby, co wobec trudności, jakie nastręczać musi zwiedzanie kraju dotąd prawie nieznanego, gdzie wszystko musi się mieć ze sobą, nie jest wcale ceną wygórowaną. Listę uczestników zamyka pan Chojnacki w dniu 15 kwietnia bieżącego roku.

Adres pana Chojnackiego: Kijów, Światoszyn, Willa 166.



Echa wojenne: Ochotnicy serbscy z okolic miasta Pirotu.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

1 Romans psychiczny.

I.

Siedziałem zamyślony przy kominku w swym gabinecie, śledząc bezwiednie oczami niebieskawy dym z papierosa, gdy przyniesiono mi wizytowy bilet młodego Leyre'a. Znałem go ze słyszenia: był to jeden z najwybitniejszych uczniów mojego długoletniego przyjaciela, profesora Durieux, chemika, który pracami swemi o fermentacyi wina, zyskał sobie wszechświatową sławę. Młody Leyre obronił świetnie tezę o działaniu kwasu siarkowego przy uprawie wina i Durieux uważał go za następcę swego na katedrze chemii.

Mimo pewnego nieładu w mej toalecie — była dopiero ósma godzina rano — kazałem wprowadzić swego gościa. Przeczuwałem, iż będę miał do badania jeden z tych rzadkich niezwykłych wypadków, które zawsze tak bardzo zaciekawiają mnie i istotnie domysły me sprawdziły się; pan Leyre przedstawiał sobą materyał do obserwowania tak nieprawdopodobnych i zadziwiających faktów, jakich nigdy nie zdarzyło mi się spotkać w całej mej karyerze lekarskiej. Sądząc po powierzchowności jego, nie można było przypuszczać tych fenomenów nerwowych, które go sprowadziły do mnie po poradę. Przypatrywałem mu się z pod oka, czytając list polecający, jaki przyniósł z sobą od profesora Durieux i widziałem przed sobą młodego wysokiego mężczyznę, silnie zbudowanego, o regularnych rysach, gęstych włosach i długiej czarnej brodzie. W czarnych oczach, rzucających śmiałe spojrzenia, czytać można było szczerość i prawość. Jednem słowem wywierał sobą nader dodatnie wrażenie. Durieux polecał mi go bardzo gorąco:

„Posyłam do Ciebie — pisał mi — dyrektora mego laboratoryum, pana Leyre'a, który uskarża się na cierpienia nerwowe. Zbyt się może niemi przejmuje, gdyż nie zauważyłem w nim nic, coby mogło mnie niepokoić. Jest takim, jakim go zawsze znałem. W każdym razie zajmij się nim tak, jakgdybyś zajął się oddanym sobie *Durieux*“.

— Czem więc mogę służyć panu? — zapytałem swego gościa po przeczytaniu listu.

— Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie, co do kilku wypadków nerwowych, które zagrażają mej przyszłości. Chodzi tu o uporczywe sny, zawsze jednakowe, a których nie mogę się pozbyć.

— Niech mi je pan opowie dokładnie — odpowiedziałem — nie opuszczając żadnego szczegółu. Proszę mi powiedzieć, kiedy te sny zaczęły się, jak i jakie okoliczności charakteryzują je.

— Opowiadanie moje, może będzie zbyt długie, jeżeli mam podać wszystkie szczegóły mych snów. Obawiam się być natrętnym.

— Proszę być o to spokojnym. Pańskie sny muszą mieć specyalny charakter, jeżeli tak pana niepokoją; mogę je ocenić tylko przez szczegółową ich analizę.

— Pozwoli mi doktór w takim razie powiedzieć, że zwracam się do pana nietylko jako do lekarza. Te marzenia senne zamieniają mój sen w życie burzliwsze i bardziej męczące, niż czuwanie; zwierzyłem się z niemi memu profesorowi, który mi polecił udać się do pana. Doktór Heurtault, mówił mi, stał się specyalistą w badanu rzadkich wypadków życia psychicznego i on jeden tylko może pomódz panu. Ulegając też przyjacielskim nalegamiom swego profesora, przybyłem tutaj. Niech mi doktór wierzy, że sam nie odważyłbym się na wyznanie, które może nasunąć podejrzenia o mym zdrowym rozsądku.

— Przystąpmy do rzeczy i niech mi pan bez obawy wszystko opowie, gdyż Durieux musiał mieć powody, że pana do mnie przysłał. Proszę, niech pan zapali papierosa i zacznie opowiadać.

— Dziękuję, lecz nie palę. A oto moje senne przygody: W zeszłym roku w listopadzie, broniłem rozprawy na stopień doktora chemii. Upłynęło więc od tego czasu już dwa miesiące. Rozprawa ta wymagała wiele pracy i musiałem przewertować sporo podręczników i dokonać długich i trudnych doświadczeń. Od trzech lat musiałem spędzać dużo czasu w miejscach, które fermentacya wina przesyca wyziewami alkoholu i eteru. Zawsze cieszyłem się doskonałem zdrowiem i nie przypominam sobie, bym miewał kiedykolwiek jakie specyalne sny: skłonność do nich uwidoczniła się dopiero po mym doktorskim egzaminie. W kilka dni po obronie mej rozprawy udałem się na wypoczynek do Arcachon; nie pracowałem wcale, zachowując zupełny spokój: miałem dobry apetyt i czułem się doskonale. 28 listopada zrobiłem dość męczącą wycieczkę na przylądek Ferret; byłem bardzo znużony i po obiedzie położyłem się zaraz spać. W nocy miałem następujący sen.

Leyre zajrzał na chwilę do swego notesu, poczem mówił dalej:

— Ujrzałem, jak przechadzam się w wielkim lesie; była noc, powietrze zimne, niebo jednak tak jasne, iż mogłem postępować bez trudu. Po pewnym czasie doszedłem do domu jakiegoś, stojącego wśród ogrodzonego sztachetami parku. Oparłem się o te sztachety i machinalnie podniosłem oczy ku oknu, położonemu na pierwszem piętrze na prawym rogu. Pozostawałem tak we śnie z oczami utkwionemi w okno mniej więcej godzinę. Czułem się jakby zahypnotyzowany i mimo znacznych wysiłków, nie mogłem zmienić kierunku swego wzroku. To widzenie było nadzwyczaj przykre i trwało do samego obudzenia się. Spojrzałem na zegarek, była trzecia godzina rano. Tak byłem przejęty uczuciem, jakby sparaliżowania, iż nie mogłem już potem usnąć. Głowa mi ciążyła, w karku zaś odczuwałem dość silny ból. Stan ten trwał aż do śniadania, potem zwolna ustąpił. Nie myślałem więcej o swym śnie; w ciągu dnia zrobiłem wycieczkę do Cazaux, gdzie przyglądałem się stawowi. Byłem dość zmęczony i położyłem się spać, tak, jak poprzedniego dnia, zaraz po obiedzie. Miałem znowu ten sam sen, przechodziłem przez ten sam las, widziałem ten sam dom: również oparłem się o sztachety i pod jakimś nieprzezwyciężonym przymusem przypatrywałem się temu samemu oknu. Chciałem walczyć z tą siłą, która unieruchomiła moje spojrzenie i członki i sprzeciwiała się wszelkiemu ruchowi. Czyniłem najrozmaitsze wysiłki, by odwrócić głowę, by wyrwać się z pod tej hypnozy, wszystko jednak było daremne; zjawisko to ciągnęło się przeszło godzinę i znikło dopiero przy obudzeniu się. Czułem się bardzo ociężały, miałem znowu ból głowy i karku. Wstałem dopiero w południe; popołudniu przeszedłem się trochę, zjadłem lekki obiad, spać się zaś położyłem późno. Sądziłem, że widzenia moje z 28 i 29 listopada pochodziły ze złego trawienia, lecz sen mój powtórzył się i tej nocy i był zupełnie taki sam. Nauczony doświadczeniem, nie starałem się już odwrócić oczu od tego okna; po upływie dość długiego czasu, około godziny, spostrzegłem w swym śnie, że odzyskałem swobodę ruchów. Po raz pierszy mogłem iść; wracałem tą samą drogą i obudziłem się w chwili, gdym był jeszcze w lesie koło wielkiego dębu, przy którym stała mała chatka. Już ją zauważyłem, gdyż sen mój zaczyna się właśnie od tego miejsca, zawsze znajduję się koło tej chatki, gdy widzę się w lesie. Jednem słowem od 28 listopada mam co nocy ten sam sen: każdą noc przebywam oparty o sztachety, nie mogąc zmienić kierunku swego wzroku. Nie próbuję już opanować swej bezsilności, przekonałem się bowiem, iż te starania wywołują na drugi dzień migrenę, gdy zaś nie czynię żadnych wysiłków, nie doznaję potem żadnego bólu. Boję się jednak, czy to uczucie sparaliżowania we śnie nie zwiastuje przypadkiem jakiego porażenia oczu. Czytałem bowiem, że pewne choroby ukazują się nieraz we śnie, zanim ujawnią się w rzeczywistości. Pragnąłbym, by mnie doktór zbadał szczegółowo i wyjawił mi szczerze cały mój stan.

Przystąpiłem istotnie do dokładnego zbadania pana Leyre'a. Nie znalazłem żadnej niedokładności, ani w krążeniu krwi, ani w oddychaniu, ani w czynnościach żołądka; muskuły jego poddane prądowi elektrycznemu nie wykazały żadnej degeneracyi; przewody nerwowe doskonałe; oko nie zdradziło żadnych symptomów patologicznych. Pan Leyre był pod względem fizycznym w doskonałem zdrowiu. Zacząłem potem egzamin czynności psychicznych, który trwał bardzo długo i był nader skrupulatny, nie odkryłem jednak żadnego braku ani w uwadze, ani w pamięci, ani w woli, ani w władaniu mową.

— Stan pański jest, jak może tylko być, najlepszy — rzekłem mu — i nie widzę w panu nic patologicznego, chorobliwego. Niepokój zaś nocny poddamy specyalnej obserwacyi. Podejrzewam, że i Durieux zaniepokoił się tem, gdyż on zna me prace i wie, co mnie zajmuje; sądzę, jak i on, że w tym przypadku można poczynić wiele nader ważnych spostrzeżeń. Powróćmy do pańskiego opowiadania. Pierwszy sen miał pan 28 listopada. Czy nie przypomina pan sobie, czy nie doznał pan dnia tego jakiegoś szczególnego uczucia?

— Nie.

— Może zdarzył się panu jaki wypadek?

— Również nie.

— Może jednak doświadczył pan czegoś niezwykłego? Niech pan cofnie się pamięcią do tego dnia.

— Nie, nic sobie nie przypominam ważnego.

— Uważam wobec tego, iż może pan zupełnie nie trwożyć się tym uporczywym snem. Niech pan ograniczy się tylko do notowania skrupulatnego wszystkiego, co się zdarzy, niech pan nie lekceważy żadnego szczegółu: nigdy nie zna się znaczenia, jakie następnie może mieć fakt, napozór zupełnie błahy. Niech pan mnie o wszystkiem powiadomi. Na zakończenie jedną tylko dam radę, a mianowicie: nie sprzeciwiać się tej sile, która, jeżeli panem nie kieruje, to przynajmniej obezwładnia pana w pewnych pozycyach. Sam już pan spostrzegł, że ten opór jest bezkuteczny i szkodliwy, należy więc go zaniechać. Mówię to tylko w tem przypuszczeniu, iż pan w tym śnie zachowa tyle władzy nad sobą, by sobą władnąć świadomie.

Potem pożegnałem Leyre'a i zająłem się swą pracą. W jego przypadku nie widziałem tych czynników tajemniczych, które mnie pobudzają zawsze do gruntownego ich poznania.

Na drugi dzień otrzymałem od niego list: przyniósł on mi ten czynnik tajemniczy, o którym wspomniałem. Brzmiał on następująco:

„Szanowny Panie!

Zapytywał pan mnie wczoraj, czy nie zdarzyło mi się coś ważnego 28 listopada, tj. dnia, od którego datują się moje sny. Odpowiedziałem panu przecząco i dopuściłem się błędu, który wykazał mi mój ostatni sen. Znalazłem się jak zwykle w lesie, o którym mówiłem, koło chatki stojącej pod wielkim dębem. Szedłem dość szybko, gdy nagle spostrzegłem przed sobą różaniec z czerwonych korali. Podniosłem go i ruszyłem dalej. Odbyłem swój zwykły postój koło sztachet, poczem sen mój skończył się bez żadnego przygadku. Otóż 28 listopada znalazłem istotnie na przylądku Ferret na nadbrzeżnym piasku różaniec z czerwonych korali“.

List ten obudził moją ciekawość. Czy istnieje jakaś niewytłomaczona łączność między tym snem, a różańcem koralowym. Jako lekarz nie mogłem odkryć żadnej, jako metapsychik pozostałem w wątpliwości. Wieczny konflikt, jaki dzielił moją własną myśl, wzmógł się znowu i czułem w sobie pewnego rodzaju rozdwojenie siebie. Jeden *ja* wzruszał ramionami i drwił z łatwowierności drugiego *ja*: „oto do czego doszedłeś, zdawał się mówić: będziesz teraz sądził, iż starczy, aby młody chemik znalazł koralowy różaniec, a zacznie śnić po nocach, jak jaka histeryczka! Jakiż związek możesz znaleźć między temi dwiema rzeczami? Czy masz w nauce jaki równoznacznik? Prawda, że nie? Czy możesz odkryć sprawczą przyczynę snów w ziarnkach różańca? Również nie! Jesteś tylko wobec dwóch faktów współistniejących, nie związanych jednak z sobą niczem“.

Tak zaatakowane moje drugie ja, nie złożyło broni, lecz walczyło: „Nie mam tej pewności co ty, nie mówię, że różaniec spowodował te sny, nie twierdzę, że istnieje jakaś łączność między tymi faktami, nie bardzo ufam swej wiedzy, niczemu jednak nie przeczę z góry, a wszystko uważam za możliwe. Uwierzysz, że ten różaniec mógłby łatwo zarazić kogo suchotami, gdyby go przedtem używała osoba chora, a przecież na nim nie widzisz okiem zarazków, musisz dopiero użyć do tego mikroskopu: przyznajesz więc, że istnieją w świecie rzeczy niedostrzegalne dla naszych prostych i grubych zmysłów, nie możesz tedy zaprzeczyć, że mogą być i takie siły, których działanie poznajemy tylko przez ich skutki. Może nadejdzie taki dzień, że wynaleziemy taki instrument, który będzie nam okazywał ich czynność“.

Długo możebym jeszcze był obecny przy sporze mych dwojga osobowości, gdybym nie opanował siebie i nie zakończył tych myśli napisaniem do pana Leyre'a listu z prośbą o przyniesienie mi tego różańca.

Na drugi dzień pacyent mój zjawił się u mnie. Poprosiłem go, by opowiedział mi swój ostatni sen i znalezienie różańca. Natychmiast zadość uczynił mej prośbie.

— Do tego znalezionego różańca nie przypisywałem żadnej wagi i nawet nie wspominałbym o nim panu, gdyby nie zjawienie się jego w mym zwykłym śnie. Po wyjściu od pana udałem się do laboratoryum i zająłem się pracą. Dzień cały minął mi bez żadnego zdarzenia, nie przywodząc ani na chwilę wspomnienia tego różańca. Zapomniałem o nim jako o nic nie znaczącym fakcie. Położyłem się spać o jedenastej godzinie i zasnąłem z myślą o swym

śnie, który nie opuścił mnie i tym razem. Jak zwykle znalazłem się w lesie koło chatki przy dębie.

— Jest to las dębowy, który ukazuje się panu we śnie?

— Nie, sosnowy, znajduje się jednak w nim i kilka dębów. Wygląd tej okolicy przypomina lasy w Landes. Szedłem dość szybko przez wydeptaną ścieżkę, gdy nagle uwagę moją zwrócił jakiś przedmiot bardzo czerwony, leżący na ziemi pośrodku drogi. Schyliłem się i podniosłem go: był to koralowy różaniec, zupełnie podobny do tego, jaki znalazłem na przylądku Ferret; ta tylko zachodziła tutaj różnica, iż na jawie był on w futerale, we śnie zaś widziałem go bez niczego. Oto zresztą on.

Pan Leyre podał mi czarny skórzany futerał w kształcie portmonetki; zawierał on w sobie czerwony koralowy różaniec o okrągłych ziarnkach na srebrnym łańcuszku, zamykanym na serce; zakończony był srebrnym medalikiem z Matką Boską z Lourdes. Był to przedmiot do nabożeństwa bez wielkiej wartości materyalnej. Powąchałem futerał, który wydawał lekką woń, właściwą skórom rosyjskim.

— Proszę, niech pan dalej mówi — rzekłem do pana Leyre'a.

— Szedłem dość szybko przez las i po upływie jakich dziesięciu minut znalazłem się na szerokiej drodze, wysadzonej dużemi drzewami. Minąłem ją i przybyłem do jakiejś prywatnej majętności, do której wstąpiłem przez otwartą bramę w wysokiem biało malowanem ogrodzeniu. Wszedłem w aleję, długości około siedmiuset metrów, która doprowadziła mnie do sztachet, okrążających dom. Ujrzałem przed sobą ten sam dom, o którym już panu mówiłem, z terasą wzdłuż całego parteru. Oczy me znowu skierowały się do okna na pierwszem piętrze i pozostałem tam długo, przypatrując się mu. Nie próbowałem już odwrócić zwroku i cierpliwie znosiłem mękę, jaką mi sprawia każdej nocy ma imaginacya. Sen ten uważam za bezmyślny i gniewa to mnie bardzo, iż tak stać muszę przed sztachetami, których nie mogę przekroczyć.

— A czy starał się pan to uczynić?

— Nie! Wydawało mi się zbyt trudnem przechodzić przez nie.

— W śnie nic się nam nie wydaje niemożliwem.

— Właśnie zupełna zdolność wnioskowania i myślenia charakteryzuje mój sen. Wiem, że w snach brak zazwyczaj ścisłego ocenienia rzeczy, lata się wtedy w powietrzu, chodzi po wodzie, dokonywa się rzeczy nieprawdopodobnych. Podczas jednak mego snu wydaje mi się, że jestem obudzony: oceniam rzeczy, jakbym to czynił na jawie i dlatego nie wdrapuję się na sztachety, ponieważ wydaje mi się to trudnem i nieodpowiedniem.

— Pozwoli pan, że dam jedną radę.

— Proszę bardzo.

— Niech pan zapragnie, ale bardzo, przejść przez to ogrodzenie, tak jakby ono było urojone. Postara się pan to uczynić?

— Bezwarunkowo.

— I o wszystkiem, co się stanie, zawiadomi mnie pan. Uwolni się pan od tego uczucia sparaliżowania, które pana niepokoi i może otrzyma pan jakie nowe wrażenia.

— Dobrze.

Leyre pożegnał się i wyszedł, po nim zaś przybywali nowi pacyenci, którzy zajęli mi cały dzień, tak iż dopiero wieczorem mogłem zastanowić się nad jego niezwykłymi symptonami. Wypadek jego zaciekawiał mnie coraz bardziej i chciałem poznać wynik doświadczenia, jakie mu doradziłem. Przypomniałem sobie sławne badania mych kolegów z panią Piper, które wykazały u niej istnienie specyalnej uczuciowości. Zwykły klejnocik wywoływał u niej widzenie biżuteryi, którą sama dawniej nosiła; trzymając go w rękach, mogła, jakby czytając jakieś tajemnicze znaki, opisać charakter i główniejsze wypadki życia jego właściciela, choć go nigdy nie znała i nie widziała. Spojrzenie tej kobiety zdawało się przenikać zasłonę przedzielającą nasz świat od świata mistycznego.

Czy pan Leyre podlegał podobnym tajemniczym wpływom nieznanych sił? Czy ukryte własności różańca działały bezwiednie na jego umysł i przedstawiały mu we śnie środowisko, w jakiem żyła osoba, która modliła się na tym różańcu? Czy niema właśnie w modlitwie tej, akcie skupienia, myśli i natężenia, pragnienia jakiegoś niezwykle silnego i trwałego wpływu udzielającego się przez ten przedmiot nabożeństwa temu, kto go się dotyka? Tak błądziły myśli me, przypisując zwykłemu różańcowi znaleziomemu przez pana Leyre jakieś tajemnicze, skryte właściwości.

Na drugi dzień rano pacyent mój przybył znowu do mnie; było dopiero pół do ósmej.

— Przychodzę wcześnie — rzekł mi — gdyż kwadrans po ósmej muszę doglądać analiz w laboratoryum. Ośmieliłem się jednak zająć panu czas, gdyż przynoszę panu nowy szczegół, który może pana zainteresuje. Przeszedłem przez sztachety! Dał mi pan doskonałą radę.

— Ach! — zawołałem z ciekawością — niechże mi pan to opowie.

— Oto, jak się wszystko odbyło. Sen mój powtórzył się jeszcze tej nocy. Po przybyciu do sztachet *chciałem* je przejść. Zaraz też znalazłem się po drugiej stronie, nie spostrzegłem jednak w jaki sposób przebyłem to ogrodzenie. Stało się to błyskawicznie. Skierowałem się wtedy ku domowi i doszedłem przez dobrze utrzymany park do terasy znajdującej się na parterze. Przebyłem siedm wielkich szerokich schodów. Terasa ta liczy mniej więcej cztery metry szerokości i około dwudziestu metrów długości, ogrodzona jest kamienną balustradą z fajansowemi ozdobnemi wazami, w każdej z tych waz z niebieskiemi malowidłami na białem tle kwitnie czerwone geranium. Front domu ma siedm okien.

Zdarzyła mi się jednak dziwna rzecz: bez najmniejszej trudności mogłem dojść do terasy, lecz dalej musiałem przechadzać się tylko na przestrzeni od okna, o którem panu wspominałem do drzwi wchodowych. Zbierałem całą swą wolę, by minąć i tę granicę, czułem jednak, że nie mogę jej przebyć. Spacerowanie to trwało aż do obudzenia się. Policzyłem, ile kroków musiałem zrobić od środka terasy do jej końca, wskutek czego mogę podać jej wymiar. Policzyłem także wazy na balustradzie: jest ich, osiem. Stały tam krzesła i fotele trzcinowe: trzy krzesła i dwa fotele. Na jednym z nich leżała książka, chciałem ją przejrzeć, lecz nie mogłem tego uczynić. Ręka moja nie odczuwała żadnego oporu, dotykając się jej i zdawało mi się, że palce moje przenikają poprzez książkę. Mimo to miałem uczucie chodzenia po twardych taflach kamiennych, niemateryalność zaś zauważyłem tylko przy przedmiotach, których się dotykałem. Bez trudu przechodziłem przez fotele i balustradę, gdy ją minąłem znalazłem się zawieszony w powietrzu, zdawało mi się, że padam i obudziłem się gwałtownie, drżąc cały. Serce biło mi silnie, zimny pot okrył mi czoło, czułem się źle. Błagam doktora niech mnie uwolni od tych snów, od których rozchoruję się poważnie.

— Niech pan nie przesadza. Wyznam panu szczerze, że nie znam żadnego pewnego środka na pański stan. Mogę popróbować i dać panu lekarstwa uspokajające lub narkotyczne, nie ręczę jednak, czy one co pomogą, natomiast używanie ich przez dłuższy czas z pewnością podziała ujemnie na organizm. Mógłbym zastosować dla pana metody psychoterapiczne, byłyby one lepsze, nie uważam ich jednak za zupełnie odpowiednie. Zdanie swe opieram na tych dwóch podstawach: metody te nie są nieszkodliwe; wystawiają chorego na pewne niebezpieczeństwo, zwłaszcza w wypadku podobnym do pańskiego. Zamiast zmniejszyć, mogą rozwinąć wrażliwość takich chorych na pewne nieokreślone jeszcze wpływy. Lekarstwo byłoby może gorsze od choroby. Zresztą stan pański wcale mnie nie zatrważa. Objawia się u pana pewien bardzo specyalny i rzadki proces fizyopsychologiczny, nie wydaje mi się on jednak patologicznym. Niech pan da możność rozwinąć się tym wrażeniom i na razie nie przeszkadzajmy im. Jeżeli pan chce zanalizować swoje widzenia, znajdzie pan łatwo wytłomaczenie swego wzruszenia.

— W jaki sposób?

— Powiedział mi pan poprzednio, że pańskie wrażenia są nadzwyczaj żywe. Czyni pan wielką różnicę między swymi snami zwykłymi, a obecnymi, na które pan się użala. Mimo swego napięcia, wrażenia te są tylko wyimaginowane: istotnie, gdy pan zechciał przejść przez sztachety, dokonał pan tego bez trudności.

— Tak, nie mogłem jednak przekroczyć granicy prawej strony terasy.

— Zaraz! Dojdziemy i do tego; na razie zajmujemy się tylko czynnikiem urojonym. Czynnik ten ujawnia się także i w innych szczegółach: palce pańskie nie odczuwały żadnego oporu przy dotykaniu książki; mógł pan przejść przez fotele i balustradę i zawisnąć w powietrzu. Czyż nie tak?

— Owszem, tak!

— Co z tego można wywnioskować? Doświadcza pan dotyku przy chodzeniu po ziemi, lecz tego pan spodziewał się; odporność powierzchni jest koniecznym warunkiem życia naszego na ziemi, a nie ponad ziemią; toż samo jest i z nieprzenikliwością materyi. Stwierdził pan w czasie pierwszych swych snów, że sztachety stanowią przegrodę.

— Tak.

— Zdziwił się pan następnie, dlaczego te sztachety stały się dostępnemi do przejścia przez nie. Pochodzi to stąd, iż pan sam nie uważał już ich za przegrodę dla siebie. Pojęcie sztachet we śnie miało tylko tę rzeczywistość, jaką im pan instynktownie, z przyzwyczajenia przypisywał. Przekonany jestem nawet, że tylko przypadkowo odkrył pan niemateryalność tej książki. Niech pan przypomni sobie swe wspomnienia.

Leyre zastanowił się na chwilę.

— Ma pan słuszność — rzekł mi. — Mogłem dotykać się książki i czułem pod palcami papier, nie mogłem jednak przewracać jej kartek. Zdołałem przeczytać jej tytuł, była to powieść Oktawiusza Feuilleta: *Romans ubogiego młodzieńca*.

— A więc znowu jest dowód, że we śnie zachował pan pojęcie, iż ta książka jest złudzeniem, wyobrażeniem tylko niemateryalnem i dlatego nie przedstawiała ona dla pana właściwości materyi. W śnie tym widuje pan rzeczy tak, jak one są, nie może jednak pan na nie działać. Jest to rzadki wypadek psychologiczny, ktory polecam szczególnej pańskiej obserwacyi. Nadaje on temu snu specyalny charakter.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pan Leyre podał mi czarny skórzany futerał w kształcie portmonetki.

Sport na usługach wojskowości.

(Do illustracyi na str. 4.)

W miarę postępów, jakie czyni budowa i udoskonalenie najnowszych środków lokomocyi, tj. automobilów i motocyklów, zwróciła na nie baczną uwagę wojskowość. W Austro-Węgrzech już od roku istnieją: C. k. ochotniczy korpus automobilowy i C. k. ochotniczy korpus motocyklowy. Każdy z nich ma swego komendanta i jego zastępcę a dzieli się na grupy w obrębie korpusów armii. Członek tych korpusów musi być poddanym austryackim, posiadać samochód o najmniej 16 HP, względnie motocykl o sile od 2 do 5 HP, lub też motocykl z wózkiem bocznym o sile najmniej 5 HP.

W czasie pokoju obowiązani są członkowie tych korpusów do odbycia w czterech po sobie następujących latach ćwiczeń, nie dłuższych nad dni dziesięć każde. Pobierają oni wtedy po 15 koron dziennie, gdy są właścicielami samochodu lub motocyklu z wózkiem, a 6 koron gdy są właścicielami tylko motocyklu. W czasie wojny automobiliści i motocykliści, gdy są rezerwowymi oficerami, dostają należną im gażę, gdy nie są oficerami otrzymują 300 koron miesięcznie, a oprócz tego benzynę potrzebną dla samochodów i motocyklów tak w czasie pokoju, jak w czasie wojny. Dodatek na wyepkwipowanie wynosi 1000, względnie 300 koron.

Członkowie wymienionych korpusów podczas ćwiczeń lub wojny podlegają przepisom i dyscyplinie wojskowej i posiadają osobny uniform, granatowy z szarymi wyłogami dla automobilistów, szary z niebieskimi wyłogami dla motocyklistów. Jednego z tych ostatnich, podczas gdy rekognoskuje ruchy nieprzyjaciela, przedstawia nasza rycina.

Zjazd straży skarbowej we Lwowie.

Przez dwa dni, niedzielę i poniedziałek tego tygodnia, obradował we Lwowie zjazd straży skarbowej. Uczestników było bardzo wielu, prócz lwowskich bowiem członków korpusu, przybyła spora ilość z całego kraju.

Przedmiotem, który był na porządku dziennym obrad, była sprawa założenia stowarzyszenia o charakterze ściśle zawodowym, pod nazwą „Stałej delegatury“ lub „Stałego zastępstwa korpusu galicyjskiej straży skarbowej“.

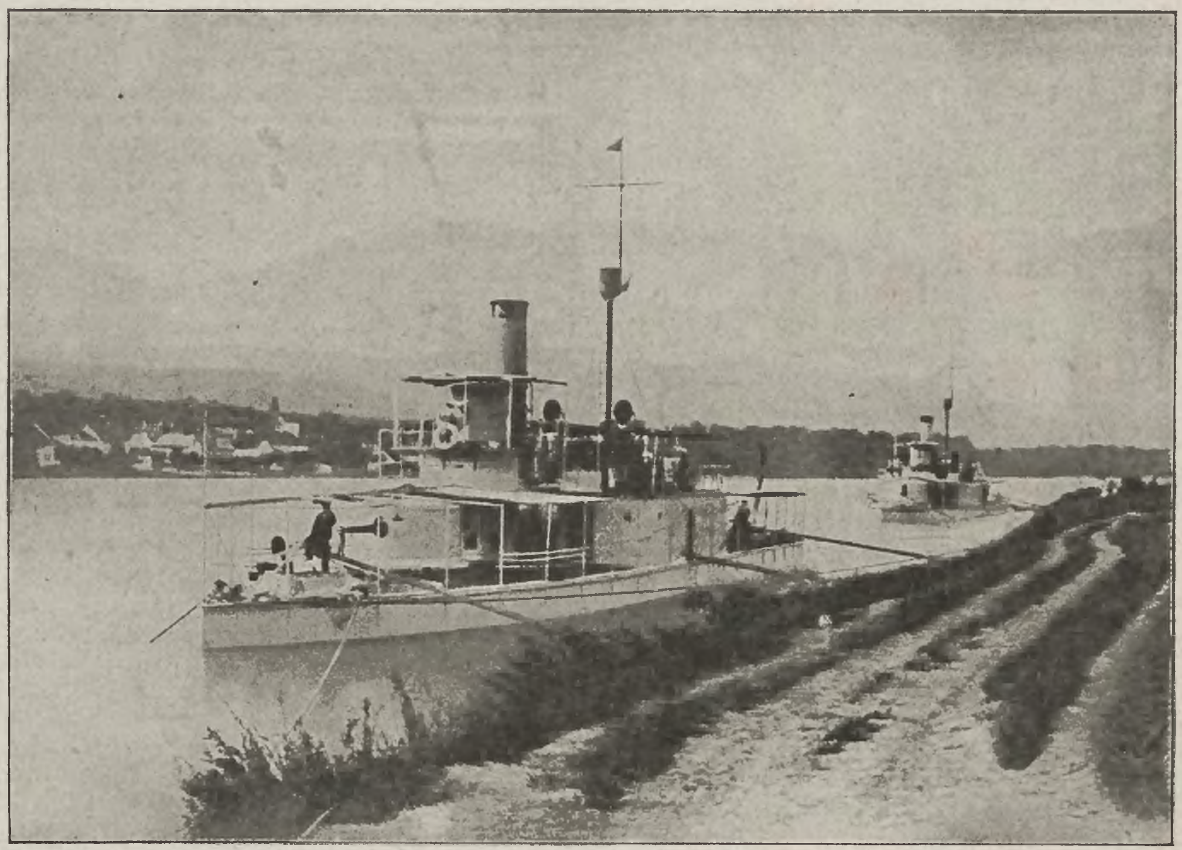
Dotąd bowiem istniało tylko jedno Stowarzyszenie członków straży, a mianowicie „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy materyalnej“, a więc o charakterze wybitnie i wyłącznie humanitarnym.

Cele, jakie zakreśliła sobie nowa organizacya zawodowa, są mniejwięcej następujące: Rozbudzenie poczucia łączności koleżeńskiej, solidarności i karności w sprawach zawodowych, strzeżenie godności i powagi stanu, informowanie władz przełożonych o ważnych sprawach, a dalej wspólna praca nad zawodowem wykształceniem, pomoc prawna dla członków stowarzyszenia, założenie bursy we Lwowie dla dzieci członków i t. d.

Sprawy, jakiemi ma się zajmować nowe Stowarzyszenie, są niewątpliwie bardzo ważne, to też zainteresowanie było bardzo wielkie.

W obradach którym przewodniczył prezes rady nadzorczej „Stowarzyszenia wzajemnej pomocy“ p. Dżugan, wziął też udział delegat dyrekcyi skarbu radca Radzikowski.

Grupę uczestników zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Echa wojenne: Monitory austryacko-węgierskie na Sawie.

Posłowie czescy we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 4).

Na pogrzeb ś. p. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego wyjechało do Jezupola pod Stanisławowem bardzo wielu polityków i posłów nietylko polskich, ale i innych narodowości, zmarły bowiem mąż stanu cieszył się poważaniem i czcią wśród wszystkich stronnictw.

Także i czescy posłowie wysłali swych przedstawicieli do Jezupola, gdzie też imieniem czeskich klubów przemawiali p. Zazvorka, wiceprezydent izby poselskiej i dr. Hruban, prezes czeskiego klubu katolickiego.

Dwaj ci posłowie w powrocie do domu zatrzymali się we Lwowie przez półtora dnia, aby zwiedzić stolicę Galicyi. Przyłączyli się oni do grona dziennikarzy polskich z Krakowa, Warszawy i Poznania i razem z nimi zwiedzili szereg lwowskich wielce interesujących instytucyi naukowych i muzeów.

Uprzejmym *ciceronem* był wiceprezydent dr. Rutowski, który objaśniał dokładnie szczegóły zbiorów lwowskich.

Uproszeni przez naszego lwowskiego korespondenta, dali się pp. Zazvorka i dr. Hruban odfotografować dla *Nowości Illustrowanych* w klatce schodowej Muzeum przemysłowego, na tle kurtyny Siemiradzkiego. Zdjęcie to zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Fot. M. Münz Lwów.

Zjazd straży skarbowej we Lwowie: Uczestnicy zjazdu. W pośrodku: 1. Prezes zarządu Benroth. 2. Delegat Dyrekcyi skarbu, radca Radzikowski. 3. Prezes rady nadzorcze Dżugan.

Kronika tygodniowa.

(Wojny nie będzie. — Jurcio w opałach. — Koncesye ekonomiczne dla Serbii. — Rada państwa i Rada miejska. — Krzywda kamieczników. — Lichwa mieszkaniowa. — Nieco o solidarności i piękne jej przykłady. — Wpływ lektury na młode umysły. — Kradzież u Bialika. — Prima Aprilis).

Z wielkim smutkiem podzielić się muszę z Szanownymi Czytelnikami wiadomością, iż z przyczyn od naszej Redakcyi niezależnych, wojna się już prawdopodobnie nie odbędzie. Poczciwy książę Jerzy, na którego, jak się obecnie pokazuje, zupełnie niesłusznie narzekaliśmy, swą polityką przyczynił się głównie do szczęśliwego rozwiązania zatargu austryacko-serbskiego.

Gdyby Jurcio był młodzieniaszkiem jak się należy, gdyby nie był się awanturował, a ostatecznie nie stał się przyczyną śmierci swego kamerdynera Kolakowicza, dziś już zapewne grałyby nad Dunajem, Driną i Sąwą armaty, gdyż w ostatnie dni ubiegłego tygodnia powietrze stało się nader duszne i gęste, pewny znak zbliżającej się burzy. Zupełnie odpowiednio do sytuacyi, zatytułowane były i wstępne artykuły naszych dzienników, które brzmiały: *Zanim działa przemówią*, *Akcya mocarstw rozbita*, *Austrya czeka do jutra*. Widocznie wojowniczego ich nastroju, temperowanego jednak ołówkiem pana prokuratora, przelękli się Serbowie i książę Jerzy, który podobno wcale dobrze umie czytać i pilnie bada wiadomości, podawane przez poważne organy prasy europejskiej. Już, już zdawało się, że pomaszerujemy na południe, *Głos Narodu* w nadzwyczajnym dodatku uchwalił nawet dwumiliardowy kredyt wojenny, gdy tymczasem mocarstwa zdecydowały się uznać aneksyę Bośni i Hercogowiny, a książę Jerzy postanowił się cofnąć w zacisze życia domowego i idąc śladem przodków, poświęcić się hodowli nierogacizny, z szczególniejszem uwzględnieniem angielskiej rasy *Yorkshire*. Zatrzeszczały telefony, kilkanaście drutów telegraficznych pękło z przepracowania, a bożek Mars (ale nie ten lwowski) ustąpił miejsca Bercie Suttner, która z różdżką pokoju w opancerzonym aeroplanie wzniosła się ponad ziemią.

Tymczasem jednak rozmyśliła się Anglia i poczęła debatować nad wynalezieniem formuły, któraby nie bardzo upokarzała Serbię. Austrya, wyniszczona finansowo przygotowaniami wojennemi, gotowa była już do zgody, obiecując Serbii różne ekonomiczne koncesye, jak np. zaprowadzenie spoczynku niedzielnego w handlu, gdzie wolno sprzedawać wódkę, a nie wolno chleba, urządzenie loteryi liczbowej, która tak wybitnie przyczynia się do umoralnienia ludności i sprzedawanie w pięknych paczkach wcale lichego tytoniu. Księciu Jerzemu, jako kompensatę za zrzeczenie się praw do następstwa tronu ofiarowano dożywotnie bezpłatne pomieszczenie w miejskim zakładzie dla nieuleczalnych (w angielskim ogrodzie) w Krakowie, sprzeciwiła się jednak temu Anglia. Na jej wniosek postanowiono zaproponować mu gubernatorstwo nowo odkrytego bieguna południowego. Byłaby to dla niego zupełnie odpowiednia posada, zostałby w każdym razie władcą i to odległego kraju, skąd nie tak łatwo dochodziłyby do Europy wiadomości o jego awanturach, a zimny klimat ostudziłby gruntownie jego zapędy. Król Piotr zaznałby także nieco spokoju, nie potrzebując się obawiać, że synek spędzi go z tronu, na którym mu wygodnie (choć nie zawsze); i tak byłby i wilk syty i owca cała.

Wszystkie te wiadomości nie są jednak pewne, lada chwila możemy się spodziewać rozruchów w Serbii, nawet wkroczenia ochotniczych band w granice Austryi, gdyż w prasie pojawiły się przypuszczenia, że książę Jerzy zrzekł się następstwa tronu tylko dlatego, by mieć wolne ręce i módz stanąć na czele ochotników, mających zaatakować Austryę. Wiadomość o ucieczce Jurcia z jakiemiś wesołemi córami Koryntu okazała się fałszywą, jak również i pogłoska, że zabrał ze sobą na koszta podróży sumę dwu milionów franków. Każdy, kto wie w jak kwitnącym stanie są serbskie finanse, ani chwili nie wątpił, że owe dwa miliony wyległy się chyba w głowie jakiegoś polującego na sensacyę sprawozdawcy. Niech tam sobie zresztą będzie, jak chce, faktem jest, że obecnie mamy spokój i w spokoju też podzielimy się święconem jajkiem, jeśli *nota bene* będzie kogo stać na taki zbytek, gdyż już i kury, idąc za ogólnym postępem zastrajkowały i nie chcą znosić jaj, która to okoliczność głęboko dotknęła amatorów jajecznicy. Na publicznym wiecu postanowili oni przez posła Daszyńskiego wezwać energicznie bar. Bienertha, by się stanowczo oświadczył, jakie w tej kwestyi myśli obmyśleć środki zaradcze i wydać zarządzenia.

Z odpowiedzią na tę interpelacyę będzie pan prezydent gabinetu mieć więcej kłopotu, niż z kontyngentem rekruta i upaństwowieniem kolei, które to sprawy jakoś szczęśliwie zeszły już z porządku dziennego, załatwione w myśl postulatów rządu. Także szczęśliwie ukończyła się w Krakowie dyskusya budżetowa w Radzie miejskiej, której koroną, a zarazem epilogiem było postanowienie zakupienia kilku realności przy ulicy Grodzkiej. Kamienice te częściowo zostaną zburzone, aby otworzyć widok na budynek magistracki, częściowo zaś zastąpione trzechpiętrowym domem czynszowym wraz z pasażem, z którego dochody mają być obrócone na amortyzacyę wydatku. Przy tej sposobności kamiecznicy, którzy budynki swe sprzedali magistratowi podnieśli ogromny lament, że zostali pokrzywdzeni, gdyż pozabierali na czysto zaledwie po dwadzieścia do pięćdziesięciu tysięcy guldenów, a przecież miasto warto było szarpnąć!

Wogóle w Krakowie obecnie ceny domów, a co za tem idzie i mieszkań, poszły ogromnie w górę. Pomimo, iż powstają ciągle nowe domy, ucuwać się daje brak mieszkań, a gospodarze śrubują ceny do niemożliwej wysokości. Za małą, zatęchłą dziurę z malowniczym widokiem na śmietnik i zlewy, za którą dawniej płaciło się pięć guldenów, dziś żądają dwadzieścia i jeszcze uważają to za łaskę. Szczęśliwi ci Wicki Socyaliki i Makolągwy, którzy mogą na lato wyprowadzić się nad Wisłę w oleandry, przeciętny Krakowianin skrobie się tylko za ucho, marząc o jakiej nadspodziewanej schedzie, wygranej lub choćby niewinnej ekspropryacyi, któraby go choć chwilowo poratowała. Jako illustracya lichwy mieszkaniowej niech służy następujący przykład. Pewien pan, dajmy na to X., postanowił wynająć sobie mieszkanie na trzeciem piętrze w jednej z kamienic, która jest jeszcze w budowie i nie wiadomo, czy się nie zawali, bo w Krakowie i to możliwe. Mieszkanie składa się z trzech pokoików i kuchenki, także miniaturowej. Gdy zapytał o cenę, dowiedział się ku swemu przerażeniu, że: „Tylko dla pana dobrodzieja dwa tysiące koron“. Ponieważ płaca jego wynosi trzy tysiące koron, na całoroczne utrzymanie dla całej rodziny, składającej się z ośmiu osób, zostaje aż tysiąc, wyraźnie tysiąc koron! Wartoby zwołać ankietę, któraby się zastanowiła, co robić, czy płacić mieszkanie, czy też jeść, bo na jedno i drugie razem absolutnie nie wystarczy. Przy tej sposobności muszę jednak zanotować piękny objaw solidarności, bo nasi kamienicznicy wyznania chrześcijańskiego, jak i mojżeszowego, postępują w tym wypadku zupełnie równomiernie.

Do solidarności poczuły się nareszcie i niektóre nasze towarzystwa społeczne, chodzące dotąd luzem. Polska Liga narodowa uchwaliła postępować jednolicie ze Związkiem narodowym i Strażą Polską, co zanotować należy na dobro tego stowarzyszenia, wychodząc z zasady, że lepiej późno, niż nigdy. Bardzo byłoby chwalebnem, gdyby i inne towarzystwa, mające pokrewne cele, zjednoczyły się do wspólnej akcyi, byłoby może mniej prezesów i innych dygnitarzy, natomiast nabrałyby siły i musianoby się liczyć z niemi. Tak jak dotąd, jedno podcina nogi drugiemu, sprawa zaś ogółu nie odnosi z tego absolutnie żadnych korzyści, czy tam pan prezes jednego lub drugiego otrzyma w uznaniu niebotycznych swych zasług (położyć się dopiero mających) tytuł radcy cesarskiego lub jakiś orderek.

Solidarności uczmy się od Żydów lub choćby Rusinów. Ruskie partye w Galicyi gryzą się po łydkach, gdzie i kiedy tylko mogą, jeśli jednak chodzi o atak na Polaków, zapominają waśni i całą ławą występują do walki. A jak oni bronią jedni drugich! W tym względzie mogą nam także służyć za przykład.

Jako dowód, że u nas dzieje się zupełnie inaczej może służyć walka, jaką świeżo toczą we Lwowie *Słowo polskie* i *Dziennik polski*. Rzekomo jest to walka o zasady, właściwie zwyczajny „brotneid“. Albo naprzykład nasi panowie posłowie z najradykalniejszych obozów, czyż nie postępują zupełnie inaczej, niż ich ruscy koledzy? Jeśli w Galicyi stanie się coś takiego, czego być nie powinno, zamiast załatwić sprawę w domu, wloką ją do Wiednia, aby przed forum parlamentu zohydzić o ile możności Galicyę i zamieszkujące ją społeczeństwo, w którego obronie nibyto kruszą kopie.

Z okazyi bandyckiej afery w Kołomyi, o której wspomniałem już w poprzednim numerze, zaznaczyć muszę, co jest właściwie powodem owego przeczulenia „czy zdenerwowania młodego pokolenia, dopuszczającego się podobnie ohydnych czynów w stanie stanowczo“ nienormalnym. Jest to szkodliwy wpływ lektury rozmaitych Sherlocków Holmesów, Nicków Carterów i podobnych bohaterów kryminalnych opowieści, których losy podniecają chorobliwie fantazyę młodzieńczą, skłonną już z natury do naśladownictwa. Pamiętamy wszyscy, jak w młodych latach interesowały i rozczulały nas losy nieszczęśliwego Robinsona i jak każdy z nas pragnął znaleźć się na odludnej wyspie, gdzieby własnej pracy mógł wszystko zawdzięczyć i uczyć się łamania się z przeciwnościami. Tamten wpływ był oparty na szlachetnych pobudkach, bohaterowie dzisiejszych sensacyjnych opowiadań to zbrodniarze, wyzuci z wszelkiego poczucia uczciwości i na nich ma się kształcić młode pokolenie! Prócz moralnej zgnilizny, jaką sieją te powiastki, przyczyniają się one do zepsucia języka, gdyż tłumaczone są wstrętnie z niemieckiego, a co również ważne, napychają kieszeń pruską, obowiązkiem jest rodziców i nauczycieli czuwać nad powierzoną jej pieczy młodzieżą i nie pozwolić, aby pod ich okiem szerzyła się podobna zaraza. Panowie księgarze mogliby także mieć pewien wzgląd, owe kilka guldenów, które w ten sposób zarobią, są niczem w porównaniu ze szkodą, jaką przez to ponosi społeczeństwo. Jestem prawie pewny, że owe najświeższe wyprawy bandyckie uczniów ruskiego gimnazyum i seminaryum w Kołomyi wzorowane były właśnie na podobnych „dziełach“.

Natomiast krakowski bandyta, który okradł sklep Bialika jest zapewne jednym z naszych głodomorów, który chciał się choć napaść widokiem apetycznych kiełbas i szynek, nie mogąc z powodu drożyzny ich kupić. Za tem przemawia okoliczność, iż udało mu się przesunąć pomiędzy żelazami kraty, czego ja np. nie potrafiłbym. Woń przysmaków tak otumaniła biedaka, że zamiast kiełbasy wziął sobie kilkaset koron, za które nabędzie wędlin u konkurenta.

Panowie masarze pozostali niewzruszeni. Nędza Krakowian nie czyni na nich żadnego wrażenia, toteż ani myślą opuścić co z cen wygórowanych, gniewają się też ogromnie na związek urzędniczy, który ośmielił się zrobić im konkurencyę, sprzedając doborowe wędliny po cenie o połowę niższej. Radziby utopić inicyatorów w łyżce wody lub choćby w Rudawie, pocieszają się jednak myślą, że dzięki naszej znanej apatyi, pozwolimy upaść tak humanitarnemu stowarzyszeniu. Mam nadzieję, że się zawiodą sromotnie, a będzie to dla nich najlepszym *prima aprilis*.

Na to „*prima aprilis*“ złóżmy też wszystkie niepowodzenia, jakie nas dotąd spotkały, niespełnione obietnice sprzyjającego nam rządu i panów posłów, bo to zawsze człowiekowi przyjemniej, jeśli potrafi znaleźć jaką wymówkę, choćby tylko wobec samego siebie, że to, co nas nieprzyjemnego dotknęło, nie stało się z naszej winy, ale spowodowane zostało jakąś: *vis major*. A chyba już nie może być bardziej pechowego dnia, jak pierwszy kwiecień, to tylko bieda, że u nas powtarza się on 365 razy do roku. Ale pocieszmy się nadzieją, że los garbaty doswiadcza nietylko przeciętnych śmiertelników, opłacających c. k. podatki, ale nawet głowy koronowane, jak to obecnie mamy dowód na cesarzu Wilhelmie, któremu rozbił się blok, tak misternie zlepiony w parlamencie Rzeszy, a powodem tego taka błaha rzecz, jak projekt rządowy o podatku spadkowym. Nibyby niemieccy konserwatyści weszli w bliższą znajomość z naszymi c. k. panami inspektorami od śruby podatkowej, przyzwyczailiby się nietylko do podatku spadkowego, ale i do 77 innych wraz z dodatkami do podatków i dodatkami do dodatków.

Miejmy jednak nadzieję, z wiosną wszystko się odmieni, zwłaszcza, że los jakiś zaczyna nam się uśmiechać. Dzięki zabiegom posłów krakowskich i prawdopodobnie nowego ministra dla Galicyi, projektowana budowa kanału Wisła-Dunaj zaczyna przybierać realne kształty. Rząd pozwolił na wykupno gruntów pod projektowaną budowę na przestrzeni Zator-Samborek, jest więc nadzieja, że sprawa, która dotąd wlokła się żółwim krokiem, postąpi odtąd w raźniejszym tempie. Gdyby tak w ślad jej poszły i inne, np. budowa krakowskiego dworca i jego odniemczenie, oraz wiele i wiele innych, moglibyśmy mówić, że opatrzność łaskawszą jest dla nas. *X.*

Zapasy atletów-amatorów we Lwowie.

(Do illustracyi na st. 2).

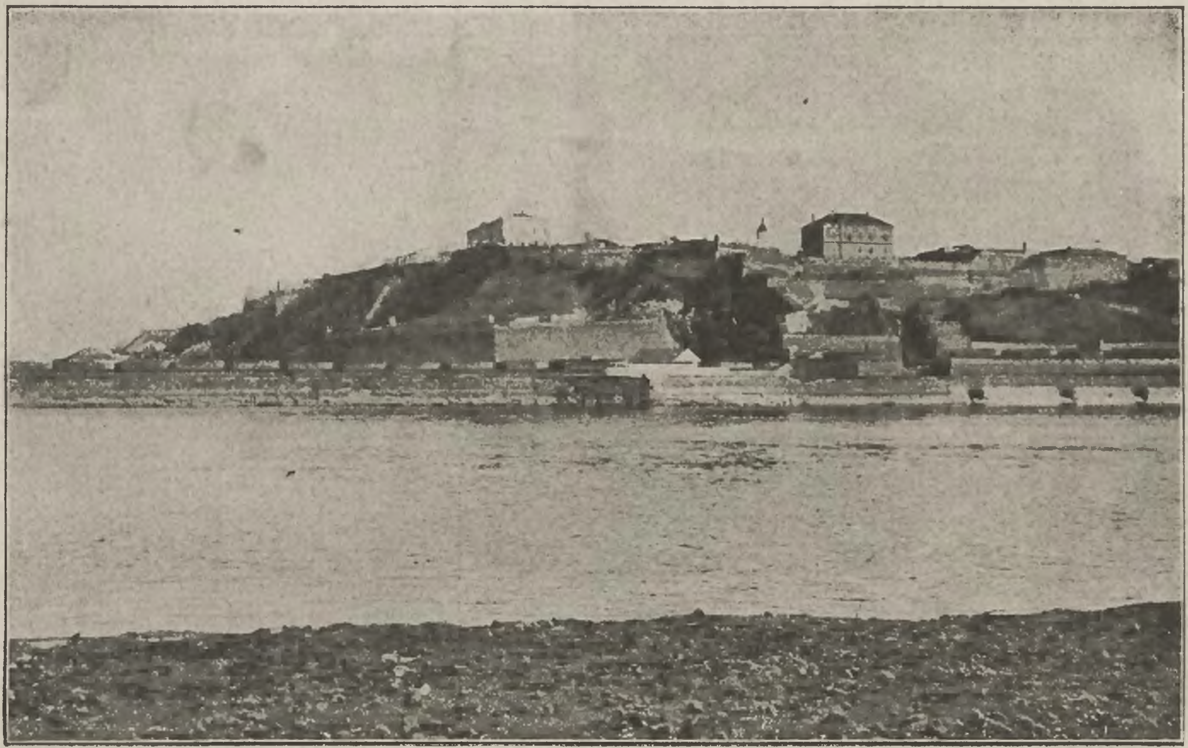
Z inicyatywy i staraniem lwowskiego klubu sportowego „Maraton“, toczyły się we Lwowie przez trzy tygodnie bardzo interesujące zapasy atletów-amatorów.

Atleci ci, to młodzież gimnazyalna, akademicka, technicka, handlowa i rzemieślnicza. Dzięki usiłowaniom kilku jednostek, rozwinęło się we Lwowie w ostatnich latach życie sportowe bardzo pięknie, zawiązało się kilka stowarzyszeń sportowych, z których „Maraton“ poświęcił główną uwagę atletyce. Toteż członkowie „Maratonu“ nabyli już znacznej wprawy i tworzą zastęp wcale dzielnych zapaśników.

Okazało się to dowodnie w czasie zapasów publicznych, które odbywały się w sali „Gwiazdy“, wypełnionej na każdem przedstawieniu mnóstwem publiczności, zwłaszcza młodzieży, która w tego rodzaju widowiskach szczególnie się miłuje.

A choć organizacya zapasów, jako widowisk publicznych, pod pewnymi względami szwankowała, co zresztą należy wytłómaczyć tem, iż urządzono je po raz pierwszy, to jednak same zapasy były bardzo zajmujące i zapewniały widzom sporo emocyi. Emocya była tem większa, iż nie występowali atleci zawodowi, lecz amatorowie, była tedy pewność, iż każda walka jest pomyślana i przeprowadzona seryo, bez jakichkolwiek szwindlów.

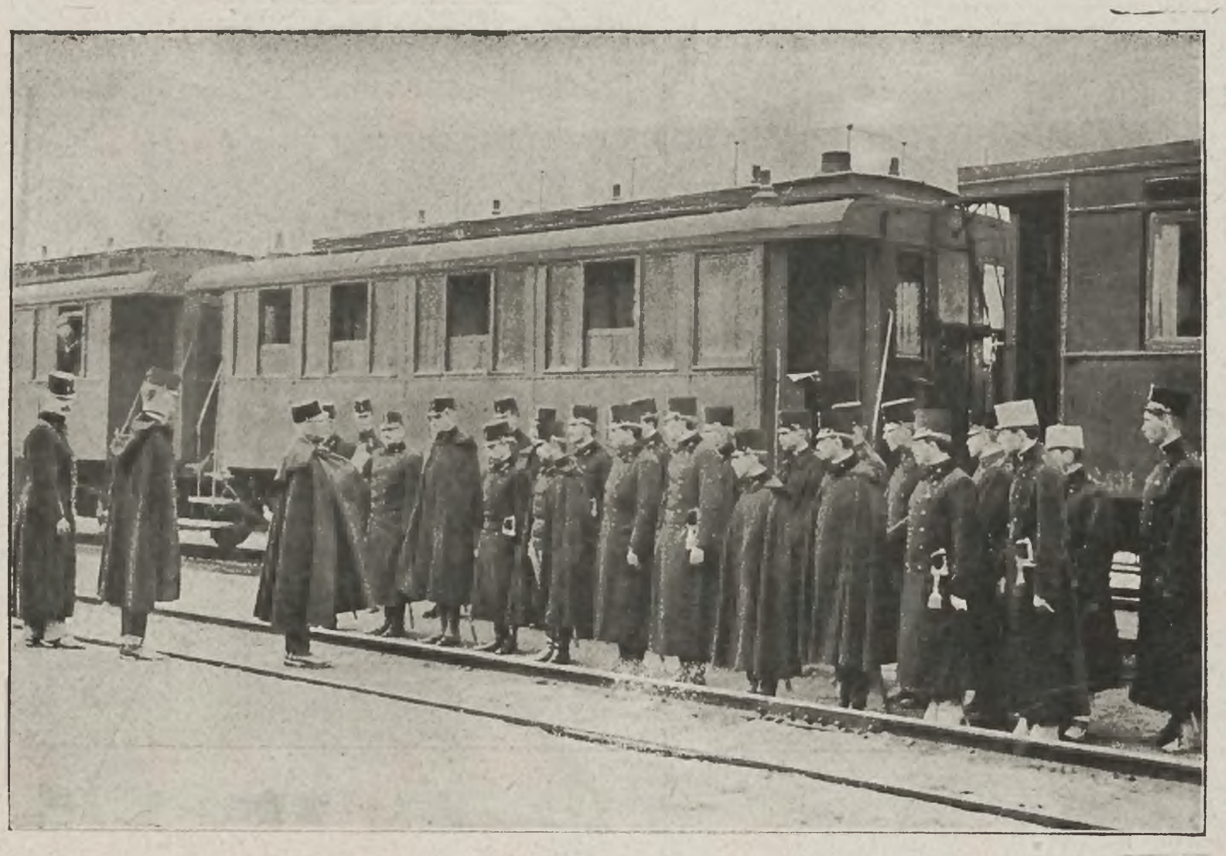
Ostatnie, rozstrzygające zapasy odbyły się w ubiegłą sobotę. Pierwszą nagrodę i tytuł mistrza zdobył p. Harasymów, uczeń gimnazyalny, drugą p. Lubieński, słuchacz politechniki. Ci dwaj zapaśnicy walczyli ze sobą trzykrotnie, raz 1 godz. 40 min., drugi raz 1 godz. 25 min., a trzecim razem prawie godzinę — bez rezultatu, tak, iż ostatecznie rozstrzygnięto na podstawie punktów, których więcej



Echa wojenne: Widok twierdzy Belgradzkiej.



Echa wojenne: Mapa Serbii.



W drodze do Bośni i Hercogowiny: Pożegnanie oficerów 71 pp. na dworcu w Budapeszcie.

przyznała komisya p. Harasymowowi. Dalsze nagrody przypadły pp. Grekowi, Bornowi i Szachowskiemu.

Grupę uczestników zapasów wraz z członkami komisyi i sądem zamieszczamy w dzisiejszym numerze, nadto zdjęcie, przedstawiające walkę p. Lubieńskiego z p. Bornem.

W drodze do Bośni i Hercogowiny.

W ubiegłym tygodniu na całym obszarze monarchii austryacko-węgierskiej powołano rezerwistów, celem uzupełnienia batalionów, wysłanych już poprzednio ku granicy południowej. Dało to powód do pogłosek, że Austrya zarządza mobilizacyę, co jednak okazało się nieprawdą. Tymczasem w ciągu bieżącego tygodnia sytuacya się o tyle wyjaśniła, że nie należy się już obawiać wybuchu wojny, natomiast wzdłuż granicy serbsko-czarnogórskiej należy utrzymywać czynne pogotowie, by przeszkodzić ewentualnemu wkroczeniu w granice państwa band rozbójniczych. Uwaga sfer miarodajnych zwrócona jest i na Sandżak nowobazarski, gdzie Turcya gromadzi siły zbrojne na wypadek, gdyby Serbia chciała w tym kierunku powetować swe niepowodzenia dyplomatyczne, które w rezultacie doprowadziły skutkiem interwencyi mocarstw do rozbrojenia. Rząd serbski znalazł się w krytycznem położeniu. Skutkiem niesumiennej agitacyi, w której książę Jerzy brał tak żywy udział, nagromadziła ona w granicach państwa Karageorgewiczów tyle materyału palnego, że zachodzi obawa wybuchu, czy to rewolucyi w kraju, czy też zaczepnych kroków na własną rękę przeciw Austryi lub Turcyi. Ze względu na ową niejasność położenia Austrya musi na swe południowe kresy zwracać baczną uwagę i utrzymywać tam zbrojne pogotowia.

Służba na pograniczu jest nader przykrą i wytężającą, to też stacyonowane tam bataliony musiano uzupełnić rezerwistami, co umożliwia częstszą zmianę pogotowia i umożliwia żołnierzom używać tak pożądanego wywczasu. Przejazd powołanych odbył się różnemi drogami, aby nie tamować normalnego ruchu pociągów kolejowych, co wpłynęłoby niekorzystnie na krajowe stosunki handlowe i przemysłowe. W długiej drodze, jaką rezerwiści musieli odbyć w swej podróży na południe, mieli też i częste postoje celem wypoczynku po nużącej jeździe. Część pociągów skierowano przez Węgry, a Budapeszt był punktem węzłowym, gdzie z różnych stron zbiegały się pociągi wojskowe, tutaj też użyczano przejeżdżającym wytchnienia. Szereg illustracyj, zamieszczonych w niniejszym numerze, przedstawia sceny z postoju przejeżdżającego na jednym z dworców kolejowych w Budapeszcie.



W drodze do Bośni i Hercogowiny: Postój 90 pułku piechoty na jednym z dworców w Budapeszcie.

Zwycięstwo dyplomacyi.

Energiczne postępowanie dyplomacyi austryacko-węgierskiej w sprawie aneksyi Bośni i Hercogowiny wprawiło w zdumienie pół roku temu Europę, nieprzyzwyczajoną do tego, aby kiedykolwiek z Ballhausplatz'u wychodziły tak samodzielne zarządzenia, jakiem było włączenie prowincyj okupowanych w integralny skład monarchii Habsburgów. Po zdumieniu przyszła kolej na irytacyę. Zarówno z Petersburga, jak Londynu, Paryża i Rzymu posypały się gromy pod adresem dzielnego kierownika polityki zagranicznej w Wiedniu, barona Alojzego Aehrenthala-Lexy. Wytrzymał on jednak spokojnie ten szturm dyplomatyczny, a zabrawszy w stosownej chwili głos bardzo stanowczy, doprowadził do tego, że mocarstwa bez konferencyi — o co mu chodziło — uznały aneksyę Bośni i Hercogowiny i oświadczyły Serbii, że nie będą popierały jej awanturniczej polityki.

Jest to niezawodnie sukces niemały i tem więcej zasługujący na podniesienie, że bar. Aehrenthal osiągnął go bez dobycia oręża z pochwy. W ten sposób zasłużył się on wielce wobec ludzkości, której groziła wielka europejska wojna, a Austro-Węgry zaś uchronił od kosztownej, a mało pożytku mogącej przynieść wojny z Serbią i Czarnogórą.

Dzielnym współpracownikiem bar. Aehrenthala okazał się w obecnej trudnej sytuacyi hr. Forgach, poseł austryacko-węgierski w Belgradzie. Jego to taktowi oraz zimnej krwi przypisać należy w znacznej części, że zatarg między Austro-Węgrami a Serbią nie przybrał jeszcze ostrzejszego charakteru.

W niniejszym numerze podajemy portrety obu tych dyplomatów, których zasługą jest podniesienie powagi monarchii wobec zagranicy.



W drodze do Bośni i Hercogowiny: Lekarz wojskowy, badający przygotowaną dla żołnierzy żywność.

Zbrodnia świętokradzka we Lwowie.

Rzezimieszki lwowskie, których liczba coraz bardziej wzrasta i którzy coraz śmielej sobie poczynają w mieście, zabrali się do rabowania kościołów,



Zwycięstwo dyplomacyi: Br. Alojzy Aehrenthal, wspólny minister spraw zagranicznych.

wiedząc, że nie brak tam cennych przedmiotów ze złota i srebra. Przed kilkunastu dniami wdarli się złodzieje do kościoła OO. Dominikanów, a w nocy na niedzielę ubiegłego tygodnia targnęli się na kościół OO. Karmelitów.

Nieznani dotąd sprawcy wdarli się nocną porą przez małe okienko od ulicy Karmelickiej do wnętrza świątyni i rozpoczęli tam gospodarować.



Kandydat do tronu serbskiego: Ks. Mirko czarnogórski.

Ofiarą padł naprzód ołtarz Cudownego Pana Jezusa; tam połamali mnóstwo przedmiotów, postrącali świece i lichtarze, pozrywali bukiety, poczem rozbili szafki z wotami, a zabrawszy je stamtąd owinęli w szmaty, aby następnie ujść z nimi.

Z kolei rzucili się świętokradzcy do głównego ołtarza. Tam przy pomocy jakichś narzędzi wyłamali drzwiczki od tabernakulum, a dobywszy z wewnątrz Hostye święte, rozsypali je po ołtarzu. Następnie zabrali kielich złoty i puszkę.

Dokonawszy okropnego dzieła zniszczenia i świętokradztwa, opuścili złoczyńcy miejsce zbrodni tą samą drogą, którą dostali się do wnętrza świątyni.

W ulicy Karmelickiej jednak spotkali się widocznie z jakąś przeszkodą, ktoś ich musiał spłoszyć, gdyż porzucili całą swą zdobycz i zbiegli.

Dzięki temu wszystkie przedmioty ocalały, gdyż znalazł je latarnik i zaniósł na policyę. Mimo to szkoda wyrządzona przez rabusiów, jest bardzo znaczna.

Zdjęcie nasze przedstawia ołtarz Pana Jezusa w kościele OO. Karmelitów, z widocznymi śladami zniszczenia i rabunku.

Kandydat do tronu serbskiego.

Losy dynastyi Karageorgiewiczów w Serbii są bardzo niepewne. Kraj ten bowiem dosyć ma już awanturniczej polityki, jaką ona uprawia, zagarnąwszy dla siebie tron, zbryzgany krwią Obrenowiczów.

W razie tedy odebrania im korony królewskiej musiałaby Serbia oglądnąć się za inną dynastyą.

Co do tego zamierzonego usunięcia Karageorgiewiczów kursują dość gęsto pogłoski — niewiadomo jednak, kto objąłby po nich spadek. Między innymi kandydatami wymieniają także ks. czarnogórskiego Mirkę, którego portret obok podajemy.

Wątpliwem jest przecież, aby Austro-Węgry, szczególniej w tych czasach, zgodziły się na sekundogeniturę czarnogórską w Serbii.



Zwycięstwo dyplomacyi: Hr. Forgach, poseł austro-węgierski w Belgradzie.



Zbrodnia świętokradzka we Lwowie: Ołtarz Pana Jezusa w kościele OO. Karmelitów, obrabowany przez złoczyńców.

Książę bowiem Nikita Czarnogórski, znany propagator ideii wielkoserbskiej, mógłby wówczas w czyn zamienić swe teorye, rozporządzając nietylko losami ubogiej i malutkiej Czarnogóry, ale także bez porównania większej i zasobniejszej Serbii.

Gdyby jednak Europa dała swoje *placet* na wybór ks. Mirka królem serbskim, musiałyby się z tym faktem pogodzić także Austro-Węgry, co jednak mogłoby tylko nastąpić pod silną presyą.

W ostatnich chwilach wyłonił się także projekt powołania któregoś z książąt angielskich na tron serbski, co, oczywiście, zmiejszyłoby szanse księcia Mirki. Kto wie jednak, czy w końcu Serbia, biorąc przykład z Bułgaryi, lub Rumunii, nie powoła jakiego księcia zagranicznego na swego monarchę.

A być także może, iż Serbia, której musiały uprzykrzyć się rządy monarchiczne, ogłosi się republiką i w ten sposób pozbędzie się kłopotu szukania odpowiedniego do tronu kandydata.



W drodze do Bośni i Hercogowiny: Żołnierze węgierskiego pułku przy rozdzielaniu menaży na dworcu kolejowym.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 12.

Logogryf: Jan Tarnowski
Szarada: Matapan.
Zagadka: Jar, raj
Krzyż magiczny: Panteon, Matapan, Iwonicz, kantory, Betania, czepigi.
Łamigłówka: Marceli Guyski.
Zagadka: Raj, jar.
Łamigłówka: Bez pracy niema kołaczy.
Szarada: Zapolska.
Zagadka: Drao, bard.
Szarada: Protazy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. O Górkowa Chyrów, A. Zapałowicz Krosno, S. Wykowski Sanok, B. Oleksy Wiedeń, A. Biliński Tarnopol, K. Zörner Czerniowce, H. Zalewska Lwów, W. Potocka Kraków, J Wilczkiewicz Kraków, S. Staszewski Lwów, K. Zbijewski Lwów, L. Olchowicz Tarnów W. Zabczewski Krosno, S. Słobudzki Ttanisławów, J. Tintenfass Rzeszów, W. Ehrlich Przemyśl, J. Gozimirski Łódź S. Morawiecki Kraków, S. Kowalski Podgórze, H. Rysiński Warszawa, J. Czaplicki Lwów, A. Motyliński Wiedeń, K. Czechowski Lwów, W. Zapała Bochnia, K. Drzymalski Kraków, J. K. Januszewski Podgórze, S. Stasicki Kołomyja, M. Klappholz Kraków, H. Berkowicz Kraków, A. Altmann Kraków, L. Altmann Kraków, K. Fuchs Czeremchów, L. Witekowa Mościska Z. de Boulangé Gawłówek, A. Polończykowa Żywiec, J. Augustynowtcz Żywiec.

Nagrodę przez losowanie otrzymał K. Drzomalski Kraków. Upraszamy o nadesłanie 35 h. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Zgrzyty. Napisali Wacław Teodorkowski i Władysław Herz. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, druk A. Rippera w Krakowie.

Zbiorek poezyi, napisanych białym wierszem w duchu modernistycznym, wydany nader starannie i opatrzony na karcie tytułowej i okładce illustracyami allegorycznemi. Jeden z autorów p. Herz, znany jest jako kompozytor kilkunastu udatnych utworów muzycznych na fortepian i orkiestrę.

Referat posła W. Długosza, **O budowie szkół ludowych** (Sprawozdanie sejmowej komisyi szkolnej) wydany jako bezpłatny dodatek do „Gazety powszechnej“ porusza kwestye nader ważne dla rozwoju oświaty w naszym kraju, zasługuje też ze wszechmiar na jak najszersze spopularyzowanie.

Staraniem wydawnictwa groszowego im. Tadeusza Kościuszki opuścił prasę drukarską zbiorek poezyi chłopa z nad Wisły, Ferdynanda Kurasia p. t. **Z pod chłopskiej strzechy.** Kraków, nakład księgarni K. Wojnara. Cena 50 groszy. W przedmowie kreśli wydawca losy biednego a utalentowanego wieśniaka-poety a następnie w chronologicznym porządku zestawia jego utwory, z których przebija gorąca miłość Ojczyzny i talent prawdziwie „z Bożej łaski“. Znaczną część dochodu przeznaczono na rzecz autora, który w powiecie tarnobrzeskim wiedzie marny żywot, musząc ciężką pracą zarabiać na chleb codzienny dla siebie i rodziny. W Tarnobrzegu zawiązał się komitet celem zakupienia kilkumorgowej zagrody dla utalentowanego wieśniaka poety.

Nadesłane.

Kącik humorystyczny.

+ Ze sprawozdania lekarskiego.

— Pobyt w tej miejscowości jest nadzwyczaj korzystny dla cierpiących na choroby nerkowe, którzy po kilkotygodniowej kuracyi mogą się spodziewać zupełnego wyleczenia. To też nie trzeba się dziwić, że przybył tu w ubiegłym roku pacyent aż z Kaukazu, który nie wahał się narazić na tak daleką i kosztowną podróż, wiedząc, że znajdzie tu ulgę w swem cierpieniu. Ponieważ choroba była rozwinięta bardzo, zmarł on tutaj, skutkiem ataku uremicznego.

Równie pomyślny skutek można osiągnąć tutaj przez dłuższy pobyt w cierpieniach reumatycznych, tak mięśniowych jak i stawowych.

+ Przed magistratem.

— Sługa kochanego radcy! Tak rzadko spotykam....

— Ogromnie jestem zajęty, ciągle posiedzenia Rady, dyskusya budżetowa, komisya, komitety...

— Ale nie czytałem nigdy, aby kochany radca przemawiał kiedy na posiedzeniu....

— E.... drogi panie, ja już mam to do siebie, iż przez sen nie mówię nigdy...

+ Po wystawie »Sztuki«.

— No, teraz i ja wyglądam secesyonistycznie! — zauważył kancelista Pantofliński, przeglądając się w lustrze po awanturze z żoną, której widomymi znakami były zielone i żółte sińce, pokrywające całą jego twarz.

+ Oświadczyny.

— Panie radco, czy mogę prosić o rękę pańskiej córki, panny Eleonory?

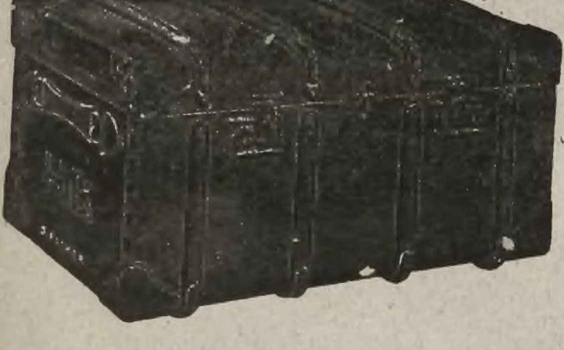
— Czy masz pan stałe utrzymanie?

— Tego panie radco dobrodzieju nie mam, ale mam za to widoki na przyszłość!

— Widoki pan ma... to kup pan sobie raczej lornetkę, a nie szukaj pan żony.









Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Loroux.

7 (Cąg dalszy).

Darzac rzekł z prostotą.

— Dziękuję, żeście przyjechali!

I uścisnął nam ręce w milczeniu, pociągając nas do przedziału, który zamknął, a nawet zapuścił firanki w oknie. Gdy pociąg ruszył, odezwał się do nas. Był tak wzruszony, iż głos jego drżał.

— I on żyje!

— Nie wątpiliśmy o tem — odparł Rouletabille. — Lecz czy jest pan tego pewny.

— Widziałem go, jak was teraz widzę.

— Pani Darzac również go widziała?

— Niestety! Trzeba jednak wszystko uczynić, by wmówić w nią złudzenie. Omal nie oszaleję!.... Ach, jakaż fatalność nas prześladuje!... Po co ten człowiek wrócił do nas?... Czego on jeszcze chce?...

Patrzyłem na Rouletabille'a. Był jeszcze posępniejszy, niż Darzac. Cios, którego obawiał się, padł. Siedział milczący w kącie przedziału Po chwili Darzac zaczął znowu:

— Ten człowiek musi zniknąć!.... koniecznie!.... Zapytać go, czego chce i dać mu pieniędzy, ile zechce, lub ja go zabiję!... to najprostsze!... Zdaje mi się, że to jest najprostsze!... Co wy sądzicie?...

Nie odpowiedzieliśmy... Wydawał się bardzo nieszczęśliwym. Rouletabille pohamował swe wzruszenie i starał się uspokoić Darzaca, prosząc go, by opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło od wyjazdu ich z Paryża.

Dowiedzieliśmy się, że zajście to odbyło się w Bourg, jak przypuszczaliśmy początkowo. Trzeba zaznaczyć, iż państwo Darzac zajęli dwa przedziały w wagonie sypialnym, połączone wspólną toaletą. W jednym był sak podróżny i necesser pani Darzac, w drugim drobne bagaże. W tym właśnie odbyli podróż razem z profesorem Stangersonem z Paryża do Dijon. Tutaj na dworcu wszyscy troje zjedli obiad w bufecie. Mieli dosyć czasu, gdyż przyjechali o szóstej dwadzieścia siedm, a odjechać mieli, profesor o siódmej osiem, oni zaś punkt o siódmej.

Po pożegnaniu się z teściem, młodzi małżonkowie wsiedli do przedziału i pociąg wkrótce ruszył. Aż do Bourgu nie zaglądali wcale do drugiego coupé, w którem złożona była torba podróżna pani Darzac. Drzwi wychodzące na korytarz zostały zamknięte jeszcze w Paryżu, ale nie zasunięto zasówki. Firanka była na nich spuszczona, tak iż z korytarza nie było widać, co się dzieje wewnątrz, w przedziale zaś w którym siedzieli, była ona odsłonięta.

Po przybyciu do Bourg dowiedzieli się, iż z powodu wypadku na bocznej linii, pociąg musi zatrzymać się na dworcu na jakie półtora godziny. Wyszli wtedy z wagonu i przez chwilę przechadzali się po dworcu, poczem Darzac przypomniał sobie, iż przed wyjazdem nie zdążył napisać kilku potrzebnych listów. By to naprawić, weszli do bufetu, gdzie Darzac zażądał przyrządów do pisania. Matylda siadła z początku koło niego, wkrótce jednak powstała, mówiąc, że woli pospacerować po świeżem powietrzu.

— Dobrze — odpowiedział jej Darzac — jak tylko skończę, przyjdę zaraz bo ciebie.

Skończyłem pisać — przytaczam własne jego słowa — i chciałem już iść do Matyldy, gdy nagle ujrzałem, jak przestraszona wpada do bufetu. Z krzykiem rzuciła się w moje ramiona. „Och, mój Boże, wołała, och, mój Boże!" Nie mogła nic innego wymówić. Drżała cała strasznie. Uspokajałem ją, mówiłem, że nie ma czego obawiać się, gdyż ja jestem z nią; pytałem jej wolno, cierpliwie, co ją tak nagle przestraszyło. Posadziłem ją, nie mogła już bowiem trzymać się na nogach i prosiłem, by napiła się wody lub wina, odrzekła jednak, szczękając zębami, iż nie jest w stanie przełknąć ani kropli. Wreszcie zdołała mi opowiedzieć, zatrzymując się przy każdem zdaniu i oglądając się z trwogą dokoła, iż wyszła przejść się przed dworzec, nie śmiała jednak odchodzić daleko, spodziewała się bowiem, że wkrótce skończę pisać. Wróciła z powrotem i gdy mijała wagon sypialny, ujrzała, iż służący przyrządza posłanie do spania; wspomniała wtedy, iż jej torba podróżna z biżuteryą jest niezamknięta, weszła też zaraz do wagonu, by ją zamknąć; minęła korytarz, lecz zaledwie otworzyła drzwi do przedziału, do którego wcale nie wchodziliśmy od wyjazdu z Paryża, krzyknęła przeraźliwie, lecz okrzyk jej zagłuszył łoskot przejeżdżającego pociągu. Stała się rzecz niesłychana, przerażająca. W przedziale tem drzwi prowadzące do gabinetu toaletowego były na pół otwarte, a na nich wisiało lustro. W lustrze tym właśnie Matylda ujrzała postać Larsana! Rzuciła się w tył, wołając o pomoc i tak szybko biegła, że wyskakując z wagonu upadła na oba kolana. Podniosła się prędko i wpadła do bufetu w stanie, jaki już przedstawiłem. Gdy mi to opowiedziała, nie uwierzyłem w to, gdyż nie chciałem wierzyć, zdarzenie to było zbyt straszne, a także z obawy, by Matylda nie zwaryowała, musiałem udawać, że nie wierzę! Czyż Larsan nie umarł?... I rzeczywiście, wierzyłem w to, co mówiłem, nie miałem bowiem wątpliwości, że uległa złudzeniu, spowodowanemu odblaskiem światła w lustrze. Chciałem się upewnić i zaproponowałem jej, byśmy poszli razem do przedziału, a tam się przekona, iż stała się ofiarą halucynacyi. Sprzeciwiła się temu, wołając, że ani ona ani ja, nie wrócimy już do tego przedziału i że nie chce tej nocy jechać dalej. Mówiła to wszystko małemi zdaniami urywanemi... nie mogła złapać oddechu.... stan jej przestraszał mnie. Im więcej dowodziłem, iż takie zjawisko było niemożebne, tem bardziej upierała się przy swojem twierdzeniu. Zwracałem jej uwagę, iż podczas dawnego dramatu bardzo mało widziała Larsana i łatwo teraz mogła się co do niego pomylić, odpowiedziała mi jednak, iż zjawił się on przed nią w dwóch takich okolicznościach, iż nigdy go nie może zapomnieć, choćby żyła i sto lat... I zwłaszcza teraz, gdy wie, kto jest Larsan, widziała w nim nietylko rysy detektywa, lecz straszą twarz tego człowieka, który ją prześladuje od tylu lat!... Ach! przysięgała, że widziała Ballmayera!... że Ballmayer żyje... że odbijał się w lustrze, wygolony zupełnie, z łysem czołem!... Schwyciła mnie za ramię, jakby obawiała się nowego, gorszego jeszcze od poprzednich rozłączenia. Pociągnęła mnie na stacyę... I nagle opuściła mnie i zakrywając sobie twarz rękami pobiegła do biura naczelnika stacyi... Ten był również przestraszony, jak i ja, stanem żony. Powtarzałem sobie, „ona zwaryjuje!" Wytłómaczyłem zawiadowcy, że żona przeraziła się, będąc sama w przedziale i prosiłem, by czuwał nad nią, gdy ja udam się do wagonu, by przekonać się, co ją mogło tak zaniepokoić... Wtedy, moi drodzy, wtedy... mówił dalej Darzac, wyszedłem z biura, lecz jeszcze kroku nie stąpiłem, gdy już wróciłem, zamykając za sobą pospiesznie drzwi. Musiałem mieć niezwykłą minę, gdy zawiadowca patrzył na mnie zdziwiony. *I ja także widziałem Larsana!* Nie! Nie! Żonie nie zdawało się... Larsan był tam, na dworcu!... na stacyi, koło tych drzwi.

Po słowach tych Robert Darzac zamilkł na chwilę, jakby wspomnienie tego widzenia odebrało mu siły do dalszego opowiadania. Potarł ręką czoło, westchnął i zaczął dalej mówić:

— Przed drzwiami stała latarnia gazowa, a pod nią stał Larsan. Widocznie czekał na nas, czatował... I co najdziwniejsze, nie krył się wcale! Przeciwnie, możnaby powiedzieć, iż umyślnie tam stanął, by go widziano!... Ruch mój przy zamykaniu drzwi był zupełnie bezwiedny. Wyszedłem zaraz znowu, by iść wprost do niego, lecz już go tam nie było!... Zawiadowca sądził, iż ma do czynienia z dwoma waryatami. Matylda, nie mówiąc ani słowa, patrzyła na mnie szeroko rozwartemi oczyma, jak lunatyczka. Przyszła do siebie dopiero, gdy zapytała, jak daleko jest z Bourg do Lyonu i kiedy odchodzi pierwszy pociąg. Jednocześnie poprosiła mnie, bym zajął się naszymi bagażami i byśmy jechali jak najprędzej do ojca. Widziałem, że tylko to może ją uspokoić i zaraz zgodziłem się, nie stawiając żadnego zarzutu. Zresztą teraz, gdym widział Larsana, gdym widział go swemi własnemi oczyma, zrozumiałem, iż nasza wielka podróż jest już niemożliwa i przyznam się — przy słowach tych Darzac zwrócił się do Rouletabille'a — że zacząłem podejrzewać, czy obecnie nie grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, jedno z tych tajemniczych złowrogich niebezpieczeństw, od jakich pan tylko, nasz przyjacielu, może nas uwolnić, o ile jest jeszcze czas na to. Matylda była mi bardzo wdzięczną, że zaraz wydałem rozporządzenia co do bagaży i że w kilka minut potem mogliśmy już wyjechać i jeszcze w Lyonie spotkać pana Stangersona. Odzyskała trochę spokoju, gdy pociąg o godzinie dziewiątej wjechał na dworzec, lecz gdyśmy mieli zająć w nim miejsce i przechodziliśmy przez stacyę koło latarni, pod którą ujrzałem Larsana, uczułem, jak drży i słabnie; rozejrzałem się zaraz dokoła, nic jednak podejrzanego nie spostrzegłem. Zapytałem, czy nie widziała znowu czego, nie odpowiedziała mi jednak. Mimo to niepokój jej wzrastał: prosiła mnie bardzo, byśmy nie zajmowali oddzielnego przedziału, lecz siedli do wspólnego. Pod pretekstem dopilnowania bagaży, opuściłem ją na chwilę wśród podróżnych znajdujących się już w przedziale i wysłałem depeszę do pana. Nie wspominałem jej o niej, gdyż ciągle twierdziłem, że z pewnością wzrok ją pomylił, a w żadnym razie nie chciałem dać poznać, że wierzę w zmartwychwstanie tego złoczyńcy. Stwierdziłem przytem, iż z torby podróżnej z brylantami nic nie zginęło. Kilka słów, jakie z sobą zamieniliśmy w czasie drogi, odnosiły się do tajemnicy, którą winniśmy zachować o tem wszystkiem wobec pana Stangersona. Pomijam zdziwienie, jakiego on doznał, spotykając nas na stacyi w Lyonie. Matylda wytłómaczyła mu, iż z powodu wypadku na linii kolejowej, przez który musielibyśmy dużo drogi nakładać, by udać się zaraz w dalszą podróż, zdecydowaliśmy się spotkać z ojcem i spędzić razem kilka dni u państwa Rance, o co zresztą oddawna byliśmy już proszeni.

...Nadmienić tutaj muszę, iż Artur Wiliam Rance żywił przez długie lata beznadziejną miłość dla panny Stangerson, w końcu jednak zrezygnował i poślubił pewną młodą Amerykankę.

Gdy panna Stangerson po przebytym dramacie znajdowała się jeszcze w domu zdrowia w okolicach Paryża, rozeszła się naraz wieść, iż Rance żeni się z siostrzenicą starego geologa z Akademii nauk w Filadelfii. Wszyscy, co znali jego nieszczęśliwe uczucie dla Matyldy, utrzymywali, iż żeni się z rozpaczy i nie wróżyli nic dobrego temu tak niespodziewanemu związkowi. Opowiadano, że małżeństwo to, dobre dla Artura Rance'a, gdyż miss Edita Prescott była bogatą, zawarte zostało w niezwykły sposób. O tem jednak wspomnę dopiero później, gdy będę mówił, dlaczego państwo Rance osiedlili się na Czerwonych Skałach w starożytnym zamku, który nabyli jesienią.

Powracam jednak do opowiadania Darzaca:

— Tłómaczenie jednak Matyldy nie wydało się profesorowi jasnem i zamiast cieszyć się z naszego spotkania, był niem zasmucony. Żona napróżno starała się okazać wesołą. Ojciec czuł, że musiało coś zajść, co my przed nim skrywamy. Udawała mimo to, że tego nie spostrzega i zaczęła rozmowę o ślubie. Wtedy wspomniała o panu, mój przyjacielu (Darzac zwrócił się do Rouletabille'a), a ja skorzystałem z tego i wspomniałem profesorowi, że pan nie ma co robić z swoim urlopem i chętnie przyjąłbyś zaproszenie, by spędzić go razem z nami. Gdy to mówiłem, Matylda wzrokiem dawała mi poznać, jak wielką radość sprawia jej moja propozycya.

(Ciąg dalszy nastąpi)